

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 25 LUTEGO 1928 ROKU

NR 9

TREŚĆ NUMERU: Posiew nienawiści — *Stefania Podhorska-Okołów*. Nowa psychologia i nowa pedagogika — *Irena Pannenkowa*. Wiersze: „O dolince Olczyskiej“, „List z Zakopanego“, „Wiatr halny“ — *Felicja Kruszevska*. Kraków i Warszawa w 1813 roku — *Anna z Krajeuskich Nakwaska*. Przygody błękitnych możliwości (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Szpara nad progiem — *Ewa Szelburg*. Kronika plastyczna — *I. J. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H. i H. S.* Dzisiaj inaczej — *L. Gerlachowa*. Kompozycje — *Wanda Młodożeńcowa*. Ekonomia domowa na kongresie międzynarodowym (c. d.) — *M. Karczevska*. Podział wieprza (dok.) — *Pani Elżbieta*. O occie domowym słów parę — *Gospośia*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Mody i Roboty“. Przedwiośnie — *Well*. Dodatek powieściowy: „Tydzień w raju“ — *Marino Moretti* — autoryzowany przekład z włoskiego *Franciszka Baturewicza*, Arkusz wzorów.

POSIEW NIENAWIŚCI

— Dlaczego w pracy społecznej i politycznej ludzie tak łatwo tracą równowagę uczuciową i zdrowy sąd o rzeczy? dlaczego wichry walk partyjnych zacierają bez śladu granice między dobrem i złem? dlaczego drzewce sztandaru, który miał przygarniać liczne rzesze pod hasłem miłości, zgody, dobra publicznego i twórczej pracy zbiorowej — niepostrzeżenie, a bezpowrotnie zamienia się w grot zatruty, godzący w pierś rodaka, pobratymcy, współzawodnika, jedynie dlatego, że tamten inną chorągiewkę wywiesił na skrzyżowaniu dróg, prowadzących zazwyczaj do jednego i tego samego celu? A w tym ogólnym posiewie nienawiści, który już kiełkuje i wschodzi jadowitem ziarnem szaleju, jakaż rola przypadła wam, kobietom, kapłankom ognisk domowych i przodownicom, niosącym wic zapaloną w pierwszych szeregach awangardy kobiecej? — czy ponętna, kusząca wrażeniami, niebezpieczeństwem i sławą, rola podpalaczki nagromadzonych namiętności partyjnych? — czy skromne nieefektywne, a trudne posłannictwo niezłomnej strażniczki tych właśnie ołtarzy miłości i zgody, które tak często i bez skrupułu ulegają sprofanowaniu w ogniu przedwyborczych zapasów?

Tak mówił do mnie człowiek starszy, zasłużony, którego młodość i wiek męski zeszedł na pracy ideowej, pod ciężkim jarzmem rządów zaborczych, kiedy to za każdym węglem czyhało widmo walenrodzimu i trzeba było w piersi lwa mieć serce gołębie, aby nie ulec pokusie nienawiści i zemsty w czynie, zrodzonym z miłości, a w poczuciu krzywdy dojrziałym. I pomyślałam sobie: — Jakżeśmy nie dorośli do wy-

żyn duchowych „tamtego“ pokolenia! Jakże nikłą jest nasza miłość, skoro nie może nas zabezpieczyć od niskich, przyziemnych, pełzających odruchów nienawiści, skoro nie może nas tak uskrzydlić, abyśmy przestali wszystkie potworne garby, narośle i skrzywienia własnych partyjnych wyolbrzymiać w nieprzebyte Himalaje, a spojrzeli na nie „sub speciae aeternitatis“, — jeśli nie pod kątem wieczności, to ze stanowiska prostych, praktycznych, użytkowych kanonów porządku społecznego!

Jest to rzeczą ogólnie wiadomą, że gorączka przedwyborcza nawet najchłodniejsze umysły zdolna jest rozpalić do białości, a najbardziej łagodne i jasno patrzące źrenice zamroczyć oparami krwi; że ludzie, którzyby w normalnych warunkach nie zabili muchy, gotowi są swoich przeciwników partyjnych ze średniowiecznym okrucieństwem pławić w morzu pomyj i jadu i szarpać bezkarnie kleszczami najohydniejszych kalumnij, na jakie zdobyć się może chora wyobraźnia, wprowadzona w stan wizjonerski tanim haszyszem wyświechtanych „szlagierów“ przedwyborczych. Prawda, to wszystko już było, i powinna nam już chyba obrzydnać ta kuchnia partyjna, hojnie szafująca asafetydą i innymi obrzydliwościami, których nawet bardzo mało wybredne podniebienie znieść nie może bez mdłości. Okazuje się jednak, że ludzie u nas mają strawne żołądki. Z sadystyczną żarłocznością rzucają się na ludożerczy poczęstunek, na tę ucztę kannibalów, nigdy niesyci cudzego mózgu, serca, krwi, wnętrza, profanując zajadłe to, co ktoś inny ma za świętość, obnażając bezlitośnie tajemnice

życia domowego, w brzęczącym komarze upatrując roje robactwa, w zapomnianej pajęczynie — gniazda zgnilizny, każdy pryszcz na twarzy bliźniego mianując trądem, każdą omyłkę — zdradą, każdą słabość — sprzedajnością.

Gdyby przeczytać wszystkie odezwy partyjne, wziąć je dosłownie i wyciągnąć z nich logiczne konsekwencje, — przyszlubiśmy do wniosku, że w Polsce wogóle niema uczciwych ludzi. Są sami szubrawcy, bezkarni zbrodniarze, złodzieje grosza publicznego, świadomi szkodnicy społeczni, w najlepszym razie — karjerowicze i pasożyty, żerujące na zaufaniu i dobrej wierze mas. I tę opinię z większą szansą prawdopodobieństwa rozciągnąby można na oczerniających, niż na oczernianych.

Są pewne metody postępowania, pewne narzędzia walki, które brudzą posługujące się niemi ręce, zanim zdążą dotknąć przeciwnika. Oszczerstwo jest bronią obosieczną. Grot jego, jak bumerang, wraca do tego, który cios wymierzył, mści się za krzywdę zadaną wszystkimi konsekwencjami złego czynu.

Nie wolno nam jednak poprzestać na takim, opatrnościowym poniekąd, wymiarze sprawiedliwości, który, choć niezawodny, zwykle bywa „nierychliwy”. Pobłażliwość pozostawmy świętym i filozofom. U człowieka czynu jest ona raczej występkiem, niż cnotą. Tołstojowska zasada niesprzeciwiania się złu usprawiedliwia i moralnie ochrania stanowisko pozornie wygodne, ale mało dostojne, w ostatecznym rezultacie niepraktyczne, a nawet szkodliwe. „Les absents ont toujours tort”. O nieobecnych tłum zapomina szybciej, niż o umarłych. Niepostrzeżenie porastają oni darnią niepamięci i milczenia, jak zaniedbane mogiły. Trzeba później nadludzkich wysiłków, aby tych nieświadomych samobójców wyrwać z dobrowolnej martwoty i powrócić światu żywych, który jest światem ruchu, walki, zmagania się o lepsze.

Przed każdą wybredniejszą, unikającą wulgarne go zgiełku i ścisku, naturą staje niejednokrotnie pokusa tego „splendid isolation”, które jest uprzywilejowaniem schronieniem pięknoduchów. Pokusa czarująca, której ulec niewolno. Niewolno nam milczeć dlatego, że ktoś inny krzyczy i chce nas zagłuszyć; niewolno uchylać się od pracy społecznej pod pozorem, że może ona pociągnąć dla nas pewne przykrości i tarcia osobiste; niewolno omijać wybitnych placówek dlatego, że ktoś inny, niegodny odpowiedzialnego stanowiska, przepycha się do niego łokciami!

Wprawdzie pobłażliwy kwietyzm, łącznie z wielkopąską nonszalancją, składają się na tradycyjną postawę rasowego polaka podczas pokoju, czyli w okresie, kiedy jego ojczyźnie nie zagraża dotykające niebezpieczeństwo; ale pamiętajmy o tem, że normalna ewolucja narodu nie może iść tylko lwimi skokami genialnych jednostek, że na nią złożyć się muszą miliony drobnych, mrówczych, celowo uzgodnionych i karnych kroków, aby z okrucichów tworzyła społecznego usypać mrowisko państwowości.

I tu, siłą analogii, nasuwa się przysłowiowy obrazek: kij w mrowisku. Jak łatwo jednym nierozważnym pociągnięciem zniweczyć wysiłek twórczy kroci, zjednoczonych wspólną ideą, wspólnem wielkiem umiłowaniem potęgi, zdrowia i rozrostu organizmu państwowego! O ileż łatwiej jest burzyć, niż budować! I niech nie mówią nam ci, co pod nieobeschle jeszcze fundamenty podkładają lewary demagogicznego krytycyzmu i świeżo wzniesione rusztowania chcą rozbić klinami opozycji „z zasady”, — że ich działanie jest zgodne z nakazami sumienia narodowego i z najwyższym sprawdzianem obowiązków obywatelskich, jakim może być tylko stara rzymska zasada:

— Salus Reipublicae suprema lex esto! *

Jakże często w przedwyborczem skrzyżowaniu szpad zapaśnicy partyjni posługują się tą zasadą, jako tarczą do odparowania cięć przeciwnika, i w wyniku walki wychodzą cało, kosztem właśnie tych hasel, które się opancerzyli! Nie ich to pierś, ale pierś Rzeczypospolitej broczy krwią pod gradem bezmyślnych ciosów, pod szatańskim posiewem nienawiści, która kielkuje szybciej, niż miłość, i jadowitą pleśnią zatruwa każde zdrowe ziarno!

W skrzętnem tępieniu tych zarodków zgnilizny kobieta polska może odegrać rolę wprost opatrnościową, jeżeli się sama, z właściwą naturą impulsywnym krańcowością, nie da unieść wartkim nurtom fanatyzmu i bezwzględności partyjnej.

Zbliża się znów jeden z tych momentów przełomowych, że jej ręce mogą być mądre, lub szalone, błogosławione, lub przeklęte. Chcemy wierzyć, że na każdej drodze i pod każdym sztandarem dochowają one wierności najwyższemu prawu obywatela, jakim jest: „salus Reipublicae” — dobro Państwa!

Stefania Podhorska-Okołów.

* Najwyższem prawem musi być dobro Rzeczypospolitej



IRENA PANNENKOWA

NOWA PSYCHOLOGJA I NOWA PEDAGOGIKA

W roku 1908 wyszła w Londynie książka p. t. „An Introduction to the Social Psychology” (Wstęp do psychologii społecznej). Autorem był dr. William Mc Dougall, docent uniwersytetu Oksfordzkiego, dziś profesor psychologii w Harvardzie, w Stanach Zjednoczonych. Miarą zainteresowania, jakie książka ta wzbudziła, jest fakt, że do roku 1923 wyszło aż 18 jej wydań, i wydaje się ją wciąż w dalszym ciągu. Jak na pracę naukową, jest to powodzenie istotnie niezwykłe.

W r. 1921 ten sam autor wydał drugą książkę p. t. „The Group Mind” (Psychika zbiorowa), której treść określa bliżej następujący podtytuł: „Szkic zasad psychologii zbiorowej z próbą zastosowania ich do interpretacji życia i charakteru narodowego”. Obie te prace Mc Dougalla wywołały ożywioną wymianę zdań i zainicjowały całą literaturę w zakresie psychologii, socjologii i pedagogiki.

Dla osób, zajmujących się wychowaniem młodzieży, nie mogą być obojętne te nowe poglądy psychologiczne, choćby dlatego, że w niejednym kierunku otwierają one nowe horyzonty pedagogiczne. Spróbujemy więc je najogólniej przedstawić.

Punktem wyjścia tej nowej psychologii jest pewnego rodzaju przeciwstawienie się dotychczasowej „starej” psychologii, jako, zdaniem tych autorów, niedostatecznej ani z czysto naukowego, ani z praktyczno-życiowego punktu widzenia.

„Psychologowie”, oświadcza Mc Dougall, „nie mogą się już zadowalać jałową i ciasną koncepcją swojej nauki, jako nauki o świadomości, i muszą śmiało dążyć do tego, by ją uczynić pozytywną nauką... o zachowaniu się, czyli postępowaniu. Psychologia nie może uważać introspekcyjnego *) opisu strumienia świadomości za całe swoje zadanie, ale musi w nim widzieć wstępną zaledwie część swego dzieła. Nade wszystko musi zmierzać do pełnego i dokładnego zdania sprawy z tych najbardziej podstawowych elementów naszej organizacji psychicznej, z tych wrodzonych tendencji do myślenia i działania, jakie tworzą wrodzoną podstawę umysłu... Dokonano odkrycia, że dawne psychologizowanie było jakby gra-

niem „Hamleta” bez roli... Hamleta, albo jakby spisywaniem maszyn parowych bez uwzględnienia faktu istnienia i podstawowego znaczenia ognia, czy innego źródła ciepła. Zewsząd się teraz słyszy, że statystyczna, opisowa, czysto analityczna psychologia musi ustąpić miejsca dynamicznemu, funkcjonalnemu, woluntarystycznemu ujmowaniu psychiki”.

Wracając do tegoż tematu w drugiej swojej głośnej książce „Psychika zbiorowa”, Mc Dougall wskazuje na dwa charakterystyczne objawy myśli nowożytnej, uzasadniające konieczność bardziej konkretnego i życiowego traktowania zagadnień psychologicznych: 1) dążność do genetycznego ujmowania zjawisk, wzmacnioną od czasu wystąpienia Darwina, 2) coraz silniej odczuwaną powszechnie potrzebę syntezy we wszystkich dziedzinach wiedzy, a już zwłaszcza na polu nauk biologicznych i humanistycznych — potrzebę tego, co Teodor Merz w swojej „History of European Thought in the 19-th Century” (Historja myśli europejskiej w 19-em stuleciu) nazwał „vue d'ensemble”—widok całości. Mc Dougall zwraca przytem uwagę, że największe dzieła filozoficzne, etyczne, psychologiczne rodziły się przeważnie z żywego odczucia takich właśnie praktycznych potrzeb życiowych i prądów epoki: a więc, nauka Hobbesa była wyrazem jego usiłowań w kierunku uzasadnienia potrzeby monarchji, ustanowionej przez Tudorów, a zagrożonej przez błędy Stuartów,—dzieło Locke’a wynikało z chęci usprawiedliwienia rewolucji 1688 r.,—Rousseau „z całą swoją fałszywą psychologią” usiłował w swoich doktrynach zbuntować ludzi przeciw układowi stosunków społecznych w ówczesnej Europie, i t. d. — wstecz sięgając, można dojść aż do wynikłej z tego rodzaju „dążeń normatywnych” również „Polityki” Arystotelesa. Dodajmy od siebie, że możnaby rozszerzyć faktyczną podstawę tego naogół trafnego spostrzeżenia, sięgając wstecz dalej jeszcze, aż do Sokratesa. Bo niczem innym nie było wystąpienie Sokratesa przeciw sofistom, jak właśnie ściągnięciem ich abstrakcyjnych igraszek i ćwiczeń umysłowych na twardy grunt rzeczywistości logicznej i życiowej.

Otóż należy tu stwierdzić, że te epokowe dzieła filozoficzne, czy to Locke’a i Rousseau’a — w nowożytności, czy Sokratesa i Arystotelesa — w starożytności—tworzyły zazwyczaj podstawę do przekształcenia ideałów wychowawczych, wiązały się z reformą systemów pedagogicznych. Coś podobnego, na mniejszą skalę, dokonywa się dzisiaj, na podstawie nowych prądów psychologicznych.

*) Introspekcja — doświadczenie wewnętrzne. Opis introspekcyjny — opis zjawisk duchowych, oparty na doświadczeniu wewnętrznym. Mc Dougall wywodzi, że należy go w szerokiej mierze uzupełniać opisem zachowania się, postępowania, opartym na obserwacji, na doświadczeniu zewnętrznym.

W przeciwieństwie do psychologii introspekcyjnej, która bada psychikę człowieka niejako „reprezentacyjnego“, w oderwaniu od konkretnych warunków wieku, sytuacji i otoczenia, i to psychikę, jakby odrazu gotową, sformowaną, rozwiniętą, — nowa szkoła psychologii socjalnej, albo, jak ją inaczej nazywają, psychologii postępowania, dąży do genetycznego zbadania instynktowych, uczuciowych, wrodzonych i nabytych czynników życia indywiduального, w miarę ich rozwoju i w zależności od wpływów otoczenia.

Podstawą wszelkich postępów ludzkich jest, wedle Mc. Dougalla, instynkt, który tem ma być właśnie dla psychiki ludzkiej, czem jest ów ogień, czy inne źródło ciepła dla maszyny parowej, a więc: — siłą motoryczno-twórczą.

Od innego psychologa d-ra Shand'a przyjął Mc. Dougall nową definicję tego, co w życiu psychicznym pojmujemy zazwyczaj, kiedy mówimy o uczuciu. Wedle tej definicji, uczucie jest to system tendencji uczuciowych, zorganizowanych wokół jakiegoś przedmiotu, jako ośrodka. A więc, uczucie miłości ojczyzny, np., to system całego szeregu tendencji uczuciowych, takich, jak do odczuwania radości z powodu tego, że w tej ojczyźnie dzieje się dobrze, smutku, lub nawet rozpacz w wypadku przeciwnym, życzliwości dla jej przyjaciół, niechęci, lub nawet nienawiści do jej wrogów, obawy przed tem, co dla niej, zdaniem naszym, jest szkodliwe, i t. d.

Tak postawiona teoria instynktów i uczuć wiąże się częściowo z psychoanalityczną teorią t. zw. kompleksów Freuda, gdyż „kompleksy“ Freuda to nic innego, jak uczucia Shanda, tylko skutek wstydu, lub obawy „wyparte“ ze świadomości w nieświadomość i ujawniające się potem w formach zamaskowanych, przeważnie szkodliwych (przy różnego rodzaju chorobach nerwowych). Wspólne jest też pojęcie instynktu, jako czynnika, tkwiącego zawsze u podstaw psychiki i postępowania. Różnią się obie teorie głównie tem, że gdy Freud rozszerza ogromnie rolę instynktu płciowego, doszukując się objawów jego działania w całym życiu człowieka, od urodzenia do śmierci, to Mc.

Dougalliści i inni angielscy przedstawiciele nowej szkoły psychologicznej nie tylko redukują do właściwych rozmiarów znaczenie instynktu płciowego, stawiając go obok całego szeregu innych instynktów, ale i w tym szeregu wysuwają na pierwsze miejsce, zamiast płciowego, raczej t. zw. „Instinct of self-assertion“, co znaczy, dążność instynktowną do wykazania swej wartości, do odegrania swej roli życiowej, do postawienia się, niejako (*faire ses preuves*, jak mówią francuzi). Rys charakterystyczny dla angielskiej psychiki.

Z punktu widzenia zadań pedagogicznych ważne jest jeszcze w tej psychologii rozróżnienie pojęć temperamentu, usposobienia i charakteru.

Temperament, ponury lub pogodny, prędki lub powolny i t. d., ma być (zgodnie naogół z nauką starożytnych) funkcją czynników fizjologicznych; tu zatem wpływ wychowawczy wywierać można tylko w stopniu bardzo ograniczonym i tylko pośrednio, przez dostarczenie organizmowi odpowiednich warunków higienicznych. Różnice usposobienia (gniewnego, tkliwego, bojaźliwego i t. d.) zależą od stosunkowej siły różnych instynktów, czyli też bardzo niewiele mogą podlegać wpływom dowolnym. W przeciwieństwie zaś do usposobienia, które jest jakby sumą instynktów i skłonności wrodzonych, charakter jest wypadkową tendencji nabytych, tj. uczuć złożonych i przyzwyczajęń, wytworzonych na wrodzonej podstawie temperamentu i usposobienia.

Wyrobienie więc charakteru zależy w znacznej mierze od wysiłków własnych i wpływów otoczenia.

Tak pojęta psychologia postępowania, ze swoim starannym studjum natury i rozwoju kolejnego instynktów, z naukowem badaniem sposobów wpływania na rozwój przyzwyczajęń, uczuć, charakteru, ze szczególnem uwzględnieniem wpływów życia zbiorowego na jednostkę — przedstawia niewątpliwie bogate i wdzięczne pole do zastosowań pedagogicznych.

W Anglii podjęto już pewne próby w tym kierunku. Przy sposobności postaramy się zaznajomić z nimi czytelniczki „Bluszczu“.



FELICJA KRUSZEWSKA

O DOLINCE OLCZYSKIEJ

Przez noc i przez dzień cały
góry za oknem stały
i niebo zasłaniały.

Cielska miały czarne, ogromne, barki szerokie, rozrosłe,
oczy nic nie widzące, czoła pod same chmury wyniosłe,
poszarpane kamienne ręce, poszarpane kamienne nogi
i zacięte były w swoim gniewie i nie chciały ustąpić z drogi.

Tylko jedna dolinka miła
drzwi błękitno-białe otworzyła.
Tylko jedna dolinka mała
dróżkę śniegiem i słońcem usłała.

Miała gałązki zielone na białym pomarszczonym obrusie,
miała po obu stronach na górze kołyszące się pióra strusie,
miała stosy białego puchu, który drżał i wirował tak ładnie
i wesóły bełkotliwy strumyczek, płynący na dnie.

Z drzew robiła koronki, z krzaków robiła paprocie
i mieniła się i drżała cała w brylantach i złocie.
Balsam wonny wylewała na głowę, mrozem łaskotała policzki.
Dobra była dla mnie i litosna, jak dla małej zabłąkanej siostrzyczki.

Gałązkami sięgała do serca na znak, że czuje, że słyszy
i strumykowym głosem prosiła: no już dobrze, tylko ciszej, ciszej...
Może szła prosto do Boga i tak zbiegła na chwilę do wody?
Bo po brzegi była pełna nieba i radosnej niebieskiej pogody.

LIST Z ZAKOPANEGO

Od gór, od gór mnie brońcie! Od twardej lodowej ściany,
o którą wzrok się rozbija, jak ptak, do klatki schwytany.
Od chmur gniotących z ołowiu — od słońca krwawego lontu —
od martwych oczu Świnicy, od pięści skalistej Giewontu!
Od mroźnego zalewu księżycowego srebra —
od wiatru, który, jak serce, wali w kamienne żebra!
Od skrzypu mrozu pod stopą, od drewnianego hałasu —
od białych łap niedźwiedziach ośnieżonego lasu!
Od krzaków, przepadłych pod śniegiem, jak stado zziębłych myszy!
Od mgły dławiącej i lepkiej — od białej zmarzniętej ciszy!
Nie dajcie mnie szarpać dzwonom! Nie dajcie mnie krajać świstom!
Noce podobne są zgonom — dnie — długim, przesmutnym listom.
Zabierzcie mnie! Uspokójcie! Nie odmawiajcie noclegu —
nie dajcie mnie żywcem zakopać w zimnym, duszącym śniegu!

WIATR HALNY

Obudził się w górach. Wypreżył. Zatarł między niebem i ziemią granicę.
Z Koziego skoczył na Giewont. Z Giewontu wprost na Świnicę.
Przez chwilę kręcił się w miejscu. Skrzydła rozpostarł i świsnął.
Gwiazdy zdmuchnął jak świece, księżyc na dno Morskiego cisnął.
W podskokach popędził w doliny, o skały łomotał wrzawą.
Nocy ośleplej ze strachu oczy zasypał kurzawą.
Drzewa potargał jak włosy. Okropnie, przeciągle krzyczał.
Potem łbem prasnął o ziemię i w śniegu wił się i syczał.
Do szalu był głodny wiosny. Z trzaskiem rozgryzał lody.
Aż runął na dno potoku długi, czarny i ciężki od wody.

KRAKÓW I WARSZAWA W 1813 ROKU

Pani de Vauban, zaprosiwszy mnie do swego, już wtedy nader szczupłego saloniku (bo pan Łanskoj główny apartament pod Blachą zajmował), zgromadziła do siebie wszystkie wówczas w Warszawie będące elegantki dla wybadania mnie o to wszystko, co tylko serca ich i umysły mocno zajmować mogło; ale opowiadania moje nie zawsze we wszystkim te panie zadawały, byłam albowiem nadto szczerą i miłość ich własna niejedną przykry cios w rzetelnej mojej powieści wytrzymać musiała.

Chciały one, bowiem, koniecznie, ażebym ich wiarę w stałość mnogich wielbicieli utwierdziła; ja zaś, szczerem, a czasem może dotkliwym usposobieniem powodowana, rozповідаłam wszystkie romantyczne ustępy naszego krakowskiego życia równie wesoło, jak trafnie, przez co może niejedno serduszko dotkliwie na siebie oburzyłam, jak mi to potem pani de Vauban, śmiejąc się serdecznie, wymawiała.

Nie przedstawiłam się wtedy w nowoutworzonym towarzystwie warszawskim, spędzając dnie i wieczory w rodzinnym gronie. Pani Łanskoj, która jedna otworzyć dom mogła, jeszcze nie przybyła, a prócz niektórych przyjaciółek rodziny mojej mało kto wtedy obecnym był w stolicy, gdzieśmy tylko kilka tygodni zabawili.

Przed naszym wyjazdem z Warszawy dokonaliśmy ważnego, a niebezpiecznego dzieła, roztropności mego męża powierzonego, które, aczkolwiek dziwnym sposobem wykonane, pożądanym skutkiem uwieńczone zostało. Był to raport ogólny o stanie kraju i Warszawy, rozlokowaniu wojsk rosyjskich i ich poruszeń, tajemnie Radzie Ministrów do Drezna, podług tejże poleceń, przez mego męża posłany. Parę arkuszy, na bitym charakterem zapisanych, dano mi do przełożenia na francuski i przepisania na czysto sympatycznym, t. j. niewidzialnym atramentem. Wstawałam codziennie o 5-ej godzinie, ażeby zadanie moje wypełnić, a to przed domownikami moimi jak najtajemniej. Kończyłam już arkusz drugi, gdy gorący poranek i miłe czerwcowe powietrze do otwartego okna mnie zwabiły. Pismo moje było jeszcze wilgotne, słowa nie nikły zatem jeszcze z niego zupełnie, położywszy je więc na oknie, całą dalszą pracę zajęta, nie przytwierdziłam niczem papieru. Wnet lekki wietrzyk uniósł go aż na ulicę i tam u stóp kilku żydów, z sobą rozmawiających, rzucił. W chwili, kiedym to spostrzegła, drzwi pobocznego pokoju się otworzyły, i młoda, przy mnie bawiąca, krewna do mojej sypialni weszła. — Cóż to pani, dla boga? — rzekła z zadziwieniem, widząc mnie bladą, jak śnieg, jakby w osłupieniu w oknie stojącą. — Papier, ten papier, tam! — zawołałam

w rozpacz. — No i cóż papier? Czyż go nie mamy, ile chcemy, z biura? — odparła, śmiejąc się, moja ładna powinowata. — Ależ, Antosiu, na Boga! idź, odbierz go, inaczej... — tu zamilkłam, wskazując na pokój mego męża.

Antosia R... nie byłaby Polką, gdyby mnie wtedy nie zrozumiała. Przebiec salony prefektury, obszerne jej sienie i schody, wpaść na ulicę i odebrać grzecznie z rąk żydów ów papier, ciekawie przez nich oglądany — było to dla mojej młodej kuzynki jednochwilowem zajęciem. Oddała mi ten arkusz tajemniczej pracy z uśmiechem nawpół szyderczym, mówiąc: — O cóż się tu tyle trwożyć?! wysłać mnie na ulicę po arkusz białego papieru, który, nawet szpilkami pokłuty, na nic się nikomu przydać nie może... — To prawda, ale ja Ci, moja Antosiu, jednak za tę przysługę nigdy dosyć wdzięczną się okazać nie potrafię! — Zdziwiona Antosia wyszła z pokoju, a ja łązając dziękczynną łaskawą Opatrzność przy rannej modlitwie pozdrowiłam za widoczne nasze ocalenie.

Raport był do przesłania gotów, lecz jakimże sposobem do jego celu go doprowadzić? Niebezpieczno było komukolwiek to pismo powierzyć, a lubo systematyczna łagodność ówczesnego rządu nader pozbłażającą się okazywała, nie można jednak było przypuścić, ażeby odkrycie takiego czynu najostrzejszych następstw za sobą nie pociągnęło. Znalazł się jednak człowiek silnej woli i niepospolitego poświęcenia, który się podjął do Drezna ten raport przewieźć i co większa, że on jak najszcześliwiej swego zamiaru dokonał. Był to Jan Kanty Rościszewski, radca prefektury, co się w tę daleką, a niebezpieczną podróż zapuścił, nie umiając ani słowa po francusku, a nawet i po niemiecku. W kraju groziły bandy kozaków i kałmuków, wciąż prawym brzegiem Wisły, aż do granic Litwy się blakające, a inaczej, jak na Lwów, całą Galicję i Czechy, nie można się było wtedy do Drezna dostać. Nasz wysłannik potrafił jednak wszystkie te przeszkody zwalczyć, a po dwutygodniowej podróży złożył w ręce księcia Bassano owe pismo tajemnicze, które mnie w Warszawie tyle pracy i kłopotu kosztowało. Opowiedział on sam przez tłumacza szczegóły, w nim nie objęte, zdając dokładną sprawę o wszystkim pierwszemu ministrowi Napoleona.

Tymczasem wypadki polityczne następowały bez przerwy. Po wygranej bitwie pod Lützen (2 maja 1813 r.) dał się Napoleon nakłonić do najszkodliwszego dla siebie kroku: zezwolił na sześciotygodniowe zawieszenie broni, co licznym jego nieprzyjaciołom wszelką sposobność do wzmocnienia swych zastępów i wspólnego porozumienia się nadało. Zawieszenie to ułatwiło

memu mężowi uzyskanie czteromiesięcznego paszportu do Galicji i do Węgier, z którym równie, jak i prawowitego rządu naszego zezwoleniem, wkrótce potem w drogę się puścili.

Smutny był nasz przejazd przez kraj, niedawno co własnymi godłami błyszczący, proporcem hułanów, iskrzącą bronią huzarów i ochoczych hufców piechoty jaśniejący; teraz zaś ujrzałeś w nim tabory Kałmuków, juczne swe wielbłądy i dojne klacze na naszych pięknych niwach pasące, lub rączego kozaka, na swym chudym koniu szybko równinę przebiegającego. Czasem odzywały się po szlakach wojenne przeciągających pułków śpiewy: były to głosy smętne, a groźne zarazem, jak bywają śpiewy zwycięzcy na mogiłach pobitego narodu. To osierocenie świetnych naszych nadziei, zagładą podsypane, dziwnie gorzko na nasze wrażenia działało i pragnęliśmy jak najprędzej zagranicę się dostać, gdy turkot pocztowej bryczki, pędem nasz powóz mijającej, nowy kierunek myślom naszym nadał. Siedziało na tej bryczce dwóch oficerów, pod przeciwnymi znakami służących, dwóch mężów, co może przed kilku dniami, mściwe orężę ku sobie podnosząc, w krwawym wojennym zawodzie wspólnie zagłady swojej pragnęli, teraz zaś spokojnie na jednym wózku siedzący, w jednymże celu do kresu swej podróży skwapliwie dążyli. Był to oficer polski i rosyjski, dla ogłoszenia zawieszenia broni razem do obleżonego Zamościa wysłani. Pierwszy, znany nam dobrze, pułkownik Hipolit Falkowski, ukłonił się nam, równie, jak my, tem spotkaniem zdziwiony.

Wróciliśmy ku jesieni na Kraków do kraju, nie mało powodziami i wezbraniem rzek w Galicji utrudzeni, które, jak wiadomo, rok 1813 tak straszliwie odznaczały. Smutne były chwile, com w Krakowie strawiła, w porównaniu z poprzednim wesołym moim pobytem w tem mieście. Przebyłam sama w hotelu, nie mając serca odwiedzania nikogo z tych, co przed kilku miesiącami tak przyjemnie czas z nami trawili.

Po krótkim pobycie na wsi mąż mój został przez ówczesny Rząd Tymczasowy rosyjsko-polski do objęcia swego urzędowania prefekta departamentu warszawskiego wezwany. Nakłonił się on do tego, znając, ile obywatele departamentu powrotu jego pragnęli. Można wtedy jeszcze było stać się użytecznym na tej posadzie, znaliśmy to dobrze, i nie wahając się ani na chwilę, wróciliśmy do Warszawy; a mój mąż, od tego czasu na wieloliczne przykrości wystawiony, które się nieustajacem prześladowaniem od w. ks. Konstantego zakończyły, poświęcił się bezwarunkowo jeszcze przez trzy lata dla dobra administrowanych przez siebie współbraci. Dodano mu tak, jak i innym prefektom, do śledzenia jego czynności niejakiemu panu Wojewódzkiego. Byli to razem koledzy i szpiegi, w każ-

dym departamencie ustanowieni, nie mający o naszych urządzeniach najmniejszego wyobrażenia, lubo od rana do wieczora ich obowiązkiem było w biurach prefektury się znajdować i wszystko, co się w niej działo, pilnie uważać. Pan Wojewódzki miał żonę przystojną, a kiedyś nawet piękną, która się tak, jak jej mąż do mojego z urzędu, do mnie przyczepiła. Była ona rodem jakaś cudzoziemka, ale jedynie tylko Petersburgiem, t. j. rozkoszami jego przejęta, nie poematowała wcale, dlaczego ja nie pragnę, żeby mój mąż kiedyś do tego lodowatego raju mógł być przeniesiony. Przymus moralny, w którym nasze życie w rosyjskiem towarzystwie upływało, nie jest do opisania. Brak zaufania i nigdy nieustająca ostrożność w mowie, zamilczanie dotąd jawnie wyrażanych mniemań i sposobu myślenia—mogą być zaiste tylko przez znajdujące się w równym położeniu Polki zrozumiane...

Pierwszy grom, co w jesieni 1813 r. w Warszawę i w ogólne jej społeczeństwo uderzył, była wiadomość o lipskiej bitwie, o Księcia Józefa zgonie. Okropne było wrażenie, które ona na nas wywarła, tem sroższe, że niegwałtowne, bo, nie wierząc niemieckim gazetom i rosyjskim przechwałkom, mało kto (i to tylko starsi), zimniej rzeczy biorący, im zaraz uwierzył. Nie można jednak było długo rzeczywistości wypadków, jakkolwiek nieprawdopodobnych, opierać się. Stolica i kraj cały oplakiwali wnet rzewnie szlachetnego Bohatera, co, najszcześniejszą sławą okryty, jeszcze jako wódz polskich zastępów na ich czele zginął, chwałę swoją i pamięć najpóźniejszym pokoleniom przekazując; atoli zgon Księcia Józefa był uważany przez istotnych jego przyjaciół za wypadek, jemu nader sprzyjający, bo jakież byłoby dla niego nadal stanowisko? Podręczne i niewłaściwe w gronie francuskich marszałków, którym na początku bitwy lipskiej 6-go października mianowany został. Mniej byłby zaiste jeszcze na swoim miejscu obok w. ks. Konstantego, co tak niezgodnie z jego sposobem myślenia naszemu wojsku później przewodniczył. Wyznać należy, że strasznym był dla nas wszystkich ten zgon, dla nas, cośmy wielkie przymioty Księcia Józefa cenić umieli i cnoty jego, tak publiczne, jak i prywatne, uwielbiali; lecz, zastanawiając się rozważnie nad chwilą, w której poległ, trzeba także wielbić cudowne Opatrzności wyroki, co tak wielkiej chwały, w całym ją blasku rozpromieniwszy, zgasnąć, a nie zaćmić się przedwieczną wolą Swoją dozwoliła.

Książę Józef miał lat 53, kiedy, w piersi ranny, w nurtach Elstery życia dokonał. Zszedł on z tego świata bezpotomnie; był synem brata króla Stanisława Augusta, księcia Andrzeja Poniatowskiego i czeskiej, hrabianki Kińskiej; zostawił jedną siostrę, hrabinę Tyszkiewiczową, w 1834 r. w Tours, we Francji, zmarłą...



PRZYGODY BŁĘKITNYCH MOŻLIWOŚCI

Czasami jeźdźcy nadciągali samotnie. Wówczas podglądała, z pod oka i nie podnosząc rzes, jaki jest — i marzyła. Oto jedzie młody pan i leniwie uderza o sztylpę końcem szpicruty. Wsparł się jedną ręką w bok i patrzy daleko. Koń idzie sam — stąpa uważnie i wygina w kabłąk słiczną, rasową szyję. Poco przyjechał i czemu sam?.. Może „ona” nie dotrzymała słowa, i jest smutny? Może niema wcale jej? A może — może także szuka przygody? Czyż to niemożliwe? Oto zaraz podniesie oczy, spojrzy — i zatrzyma się, zdziwiony. Któż jest ta dziewczyna w sukni koloru przyćmionego płomienia, stojąca samotnie pod drzewami u skraju drogi? Ma ciemne włosy i delikatną twarzyczkę, o oczach, jak migdały, o małych, ponsowych ustach. Niesie kapelusz w rękę, prosta i smukła w swojej dziewczęcej urodzie. — Dlaczego jest sama na tej dalekiej drodze, gdzie nie stają nigdy przechodnie? Może potrzebuje pomocy?.. Zwraca się do niej, uchyła kapelusza... Ona staje w płomieniach, czując na sobie uważny, ciekawy wzrok... Schodzi z konia, idą razem, rozmawiają... Jest cudzoziemką. Nie może, ach, nie może mu powiedzieć o sobie nic, nie! — Więc dobrze, niech tylko nie płacze! czyż podobna, aby takie oczy... — Odprowadzi ją do domu, odwiezie autem. — Ach, niemożliwe! Ona — ona nie ma domu. Więc bodaj do restauracji na placu Wanderbildta, do restauracji milionerów, wypić filiżankę herbaty w jego towarzystwie?.. Nie może jej zostawić tu samej i straconej, musi się dowiedzieć, uspokoić... — Lekki uśmiech wykwitnie wtedy na smutnych usteczkach nieznajomej. — Jeżeli koniecznie chce — to — może... W Ameryce takie rzeczy nie obowiązują. I oto zjawia się skądś auto, i oto wsiadają, i oto suną cichoszeleśnie po wspaniałej Fifth Avenue do zaczarowanych, niedostępnych, strzeżonych drzwi restauracji Ambasadów. — Drzwi, które się otwierają w zakłątą krainę Przygody.

Ale żaden samotny jeździec nie zgłaszał zainteresowań, jakkolwiek niejedne oczy padały na panią w sukni koloru płomienia, która stała z kapeluszem w rękę pod drzewami na skraju jezdnej drogi i nie wiedziała sama, jak dalece romantycznie wygląda z oczami, pełnymi wyczekiwania Cudu.

* * *

Małeńkie, podręczne jadłodajnie były pełne niespożytej ciekawości dla oczu. Sprawnie zorganizowana i do minimum ograniczona obsługa zdumiewała elegancją białych strojów i wyliczeniem ruchów. Wszystkie przedmioty i wszystkie szczegóły urządzenia były pomyślane z podziw budzącą celowością. Zwłaszcza

czarowały starokrajską panią automaty, gdzie ideał zakłątego obrusu z bajki zbliżał się ku ucieleśnieniu. Ludzie wchodzili zakłątką, przeznaczoną do wejścia, nie myląc się nigdy, bo otwierała się tylko do wewnątrz, i stawali sprawnie ogonkiem, który się automatycznie przewijał przed odpowiednimi szufladami stołów. Na pierwszym stały tace, z których jedną chwytala lewa ręka, podczas gdy prawa dobierała już z następnego sztucce, potem szły serwety, chleb, bułki, napoje, le guminy, słodczyce, albo doprawy. Z odpowiednich zamkniętych piecyków wylatywały gorące talerze, pełne dań, przewidzianych w jadłospisie, i nie zawodziły nigdy. Murzyńskie twarze pod białymi kokardami czepków sprzątały zwinnie sterty balansowanych w rękę talerzy, które ginęły gdzieś w czeluściach, ażeby za minutę z hukiem wyjechać z nich na desce zpowrotem. A zakłątką, prowadzącą nazewnątrz, wywijał się znowu długi smok, napasiony automatycznymi smakołykami. I królująca na wysokim stołku kasjerka ruchem nakręconej lalki brała składane w przejściu pieniądze, wydawała resztę i nakłwiała kolorowe płatki kuponów na szpikulce — bez sekundy przerwy i z monotonna dokładnością doskonale działającego automatu.

* * *

Poraz pierwszy wykryła skwer nad oceanem przypadkiem. Pojechała kolejką podziemną w okolice, dotąd sobie nieznane, do początków coraz to wspaniałego Brodwayu, w nadziei na wskazaną możliwość zajęcia w olbrzymich faktorjach tej dzielnicy. Zajęcia nie było, a i w możliwości powoli przestawała wierzyć — przeciwnie, zaczynała się skłaniać ku teorii niemożliwości. A ponieważ iść nie miała dokąd (dano jej niemiłą współlokatorkę, zapewne celem wykwitowania z lokalu szarobłękitnych miłosierdniczek) — a zatrul ją już czarziewdzania nieznanego — poszła przed siebie pochylnią Dolnego Brodwayu, ulicy błękitnych możliwości. Dotąd znała tylko jego górne rozkręty — gdzieś w okolicy sto pięćdziesiątej, czy sto osiemdziesiątej przecznicy — w samej potężnej paszczy miasta. Był tam wspaniały i szeroki, przecinany skwerami i rozjarzony wieczorem olśniewającą oczy sarabandą świetlnej reklamy, która złotymi ogniami kreśliła w górze inne, napowietrzne miasto, tem piękniejsze, że świetliste i milczące.

Tu oczom otwierał się inny obraz. Coraz wężiej i ciasniej cisnęły się ku sobie wysokie chmurosięgi, coraz mroczniała ulica, coraz ciemniejsza stawała się jej uciekająca wciąż ku dołowi czeluść. Wspaniałe

sklepy i wystawy zginęły: tajemnicze bocznicie były czarne od przelatującego nad nimi pomostu górnej kolei, głuche od pozamykanych szczelnie okiennic nieufnych domów, zdradzieckie schodkami do suterren. Stąd wylatywały na światło — a właściwie: na półmrok — dnia, czasami — hulaszczce śmiechy i śpiewy, a czasem — wykopnięta potężnie poprzez drzwiczki marynarskiej spelunki, aż na ulicę, pijana postać, za którą leciał gruby rechot, albo przekleństwa. Niewiedzieć było, czy kto się nie czai w mroku słupów, podtrzymujących pomost kolejowy — nie sposób było odróżnić chyblich cieni i migotów pod czernią wiszącego peronu, po którym od czasu do czasu z hukiem i łomotem przelatywały, jak nagła burza, pociągi, nie-samowicie świecąc oczami, głodnymi żeru. Były to tyły sławnego Broadway'u — głównej arterji Newyorskiej, którą się toczyła jego najistotniejsza krew.

Uciekła z tych strasznych, jak ślepe oczy, przecznic i wyszła czempredziej na Broadway. Zawiało morzem. Po obu stronach ulicy stłoczyły się przynależności okrętowo - podróżnicze, raczej praktycznego zastosowania: — liny, smary, skóry i żelaza, ogłoszenia i rozkłady jazdy. Nadewszystko zaś, kolorowe chorągiewkami reprezentowanych krajów, nęcące oczy egzotykiem, barwiły się tam zdaleka tęczowemi sztyldami ekspozytury okrętowych linii. Na tym ostatnim, zbiegającym ku wodzie, kawałku lądu wszystkie syreny morskie usiłowały rozpiąć sieci, aby zaciągnąć do swego kraju oszołomionego piechura. Cudowne, tylko z książek i marzeń znane nazwy czarowały wzrok nieodpartym magnesem. Australja! Hong-Kong! Nowa Gwinea i Taiti, Port-Said i Gwadelupa, Marsylja i Madagaskar! Wieloplamiaste mapy rysowały drogi morskie — takie bliskie, takie strasznie dostępne! Tylko wejść do kantoru, tylko powiedzieć zakłète słowo... A oto trzy dolary i śmierć głodowa — i żadnych możliwości na jutro.

Wtedy właśnie z najmroczniejszej cieśniny wylotu ujrzała słoneczny słońcem, a błękitny od oceanu, skwer, jak uśmiech dobrej nadziei. Odtąd obrała go za dom swej chwilowej bezdomności — ostatni port, z którego może odjedzie w najdalszą niewiadomość, na okręcie, który nie zna powrotu, a któremu na imię: śmierć.

* * *

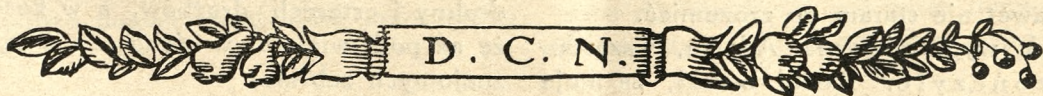
Po wiadomem spotkaniu w porcie, młoda absolutka prawa wróciła do siebie z płonąca szczególnie głową i wielkimi od nawału myśli oczyma. Szalona idea zaczynała kielkować w niej nieustępliwie, jak opętanie. Spółlokatorka szyła suknię, widocznie na występ pełen miłych nadziei, gdyż podśpiewywała i raz poraz wdziewała tunikę, strojną w falbaneczki, wypinając efektownie postać. Na Romę rzuciła nie-

chętnem spojrzeniem, ile że niemowna i mało zabawna towarzyszka tamowała naturalną ekspansję jej wymowy, która wobec koleżanki-amerykanki znalazłaby ujście. Koleżanka taka czekała w pogotowiu na zwolnienie przez intruzkę drugiej połowy pokoju. Intruzka czuła swą zbędność i usiłowała zajmować jaknajmniej miejsca—to znaczy, dnie spędzała poza domem, a po przyjsciu natychmiast kładła się spać.

Dziś dałaby sumy, żeby zostać w czterech ciasných ścianach samej, i modliła się, aby jak zwykle, telefon wydzwonił nadół ozdobną Dorothy, na zwykły wieczorny reżuisans z jej kolejnym boy'em. Boya musiała mieć każda szanująca się amerykanka: należało to wprost do przyzwoitości. Nawet szare, ani inne siostry nie ważyłyby się przeciwstawić jego uświęconej przez tradycję konieczności. Z boyem chodzono na dancing, do restauracji, do teatru, na spacer—wogóle, z boyem „wychodzono“ i miano „gut time“ (zabawę). Wracać należało na określoną, dość liberalną, zresztą, godzinę—i naówczas żadnej władzy na świecie nie obchodziło, jakie relacje panują pomiędzy młodą parą. Relacje zaś panowały zazwyczaj merkantylne,—każda strona doskonale wiedziała, czego od drugiej może wymagać i co nawzajem dać powinna, ażeby każdochwilowe rozstanie nie pociągało za sobą bolesnych likwidacyj. Boya można było polawiać na każdym miejscu i zmieniać dowolnie bez krępujących zobowiązań — i współtowarzyszka Romy szeroko korzystała z przywileju swojej ojczyzny dla uprzyjemnienia sobie życia.

Roma przeleżała z głową pod kołdrą aż do chwili, kiedy za piękną w swych falbankach, jak reklama na krochmal Dorothy zamknęły się hałaśliwie drzwi, a wówczas wstała. Kwadrans, czy więcej trwała przy szybie, patrząc w gwiazdy, pięknie skopjowane ze sztandaru państwowego na patriotycznym amerykańskim niebie. Dla niej, emigrantki bez ziemi, nie było tu gwiazd! Należało szukać natchnienia w ich ziemskim odbiciu: w tak samo wielkich, srebrnych i doskonale lśniących dolarach. Przeliczyła swoje, — wynosiły już tylko dwa i pół — i schowała. Poczem zdecydowała się, przejrzała i spakowała rzeczy. Pamiętnik spaliła, listy podarła i wyrzuciła do kosza. Odłożyła zato ostatnią, świeżą zmianę bielizny, bardzo przyjemnej amerykańskiej bielizny z jedwabnego cieniutkiego trykotu — jedwabne pończoszki — nowe, wymyślne kokardy podwiązek—pantofelki pod krokodyla, kapelusz z woalką na oczy i torebkę. Resztę bielizny i skromne starokrajskie sukienki (salony z okolic Kutna!)—skomplikowaną mnogość drobiazgów i nicostek i wszystko, co posiadała wogóle: złożyła do walizki i napisała wielkimi literami na kartce:

„I dont need them—I loave tonight thid country.



KACZĘTA

(powieść)

Milczałam, połykając łzy. I znowu raptem zabrała głos Adelka:

— Niech się ojcuz nie irytuje. Ciocia Juścia jest trochę egzaltowana; romanse sobie układa, dramaty, jak w teatrze. To dlatego...

— Romanse? Cóż to znowu?

— A tak, papo. Ciocia powieści pisać powinna, feljetony do gazet... Ciocia ma taką świetną wyobraźnię! — mówiła dalej słodkim tonem, świdrując mnie oczami — a ostatnimi czasy nawet się cioci ogromnie styl wyrobił! Bardzo się ciocia poetycznie wyraża niekiedy... Szkoda tylko, że w najbliższej rodzinie prawie same czarne charaktery ciocia znajduje...

Jezus Marja! Żebym miała charakter gwałtowny, tobym chyba tę dziewczyną zatłukła! To ona teraz z mojego pamiętnika zabawę sobie urządza! Więc rzeczywiście czytała go! Czytała... Musiałam go na wierzchu kiedyś zostawić przez zapomnienie, a ona potrafiła z tego skorzystać... Więc nic nie mam swojego, nic, nic! Żadnej myśli...

Tomek się uniósł i zachował wobec mnie ordynarnie. Ale to mnie mniej zabolalo, niż ta myśl, że Adelka wie wszystko. Że wślizgnęła się do moich uczuć najskrytszych, do tej spowiedzi, którą sama przed sobą czyniłam, tylko sama przed sobą!

Wszystko mi później dziwnie zubożniało od tej chwili. Nawet, że Adelcia szepnęła po obiedzie, gdy Teofil poszedł na drzemkę:

— Niech się ciocia nie martwi. Nie stało się ostatecznie nic złego. A Tomasz ciocię przeprosi, już ja to cioci obiecuję. Tylko lepiej, żeby ciocia doprawdy dała spokój z temi swojemi „zasadami“. Przecież ciocia sama chyba woli, żeby się ożenił z porządną panną, a nie jakąś tam... o którą ciocia niepotrzebnie się troska. Da ona sobie radę, jak dawała przedtem. Ciocia ma doprawdy zbyt romantyczne usposobienie. To dobre w innych czasach, ale nie dziś. No, bardzo się ciocia gniewa na mnie za ten pamiętnik? Ot, tak mi się wymknęło... Ale ciocia, mojem zdaniem, serjo ma talent pisarski. Toby można w książce wydać, wie ciocia? I ludzieby z ciekawością czytali!

Uśmiechnęła się:

— Tylko mężczyzn ciocia zupełnie nie zna i nie rozumie. No, i niektórych kobiet też... Ale to trudno, my już jesteśmy z innego pokolenia...

Inne pokolenie... O, tak! Nie rozumiem go. Być może. Już się nawet nie staram go zrozumieć.

Później, jak wyprorokowała Adelka, wszystko się dobrze skończyło. Teofil orzekł, że moje

poglądy na to małżeństwo dadzą się jeszcze wobec pana Kazimierza „zaretuszować“. I Tomek mię przeprosił. A jakże, bardzo solennie. Z pocałowaniem w rękę i uroczystymi słowami.

Ale coś się od tej chwili zepsuło. Coś pękło między nami i już dźwięczy fałszywie, jak nadtluczone szkło. Między mną, Tomaszem, Adelką.

Siadamy razem do stołu — mieszkamy pod jednym dachem — rozmawiamy o codziennych sprawach... A z tem wszystkim trwa ciągle zawzięte, głuche milczenie. Słowa, z ust padające, brzmią często prawie serdecznie, a serca są — jakby za grubą taflą lodu.

I już tak pewno zostanie między nami — na zawsze.

Coraz częściej wymykam się z domu, kluczę ulicami, jak złodziej — i zachodzę do Łuczakowej, żeby popatrzeć na Kazia. Tylko po to. Wymyślam różne sztuczki, żeby się matka nie spostrzegła. Zanoszę niepotrzebne nikomu roboty... Znoszone suknie Adelci, które stara Łuczakowa pięknie plisuje, a ja je później pierę w domu i znów zanoszę. Niewiele już mam własnych pieniędzy, bo i te oszczędności, co zostały, teraz prawie nic nie są warte. Marka polska wciąż spada i spada. Ale niedawno sprzedałam tę dużą broszkę z ametystem, pamiątkę jeszcze po matce. Nie mogę przecież pozwolić, żeby Teofil płacił za te moje dziwactwa...

Łuczakowa i Janinka zawsze mię witają serdecznie, jak starą, dobrą znajomą. A malutki wyciąga do mnie rączki. Ma już cztery ząbki na przedzie, a jaki duży i tłusty! Śliczne dziecko! Biorę jego krągłą główkę w obie ręce i podnoszę buzię ku światłu. Patrzę w te niewinne oczęta, wielkie takie, wesołe, ufne — i myślę:

„Czy to możliwe, że z niego kiedyś także wyrośnie duży, dorosły człowiek? Że wyfrunie z pod skrzydeł matczynych w daleki, obcy dla niej świat — że będzie dobrym, albo złym synem, że potrafi kogoś ukrzywdzić?“

On, ten maleńki mój wnuczek — taki podobny do Tomka!

15 stycznia

Wszystko odbyło się jota w jota, jak sobie wymarzyła Adelka: obrzęd ślubny z wielką paradą, w Kościele Panien Wizytek, o szóstej popołudniu. To podobno ogromnie elegancko. Były aż cztery drużny i czterech drużbów, a w kościele tłok taki, że aż podziwiałam w cichości, skąd się taka moc znajomych zebrała?

Potem — wspaniała kolacja w domu panny młodej, z różnemi frykasami, z szampanem... Herminika miała suknię białą z długim trenem i welon ślicznie upięty. Wyglądała w tym stroju jeszcze gorzej, niż w zwykłym codziennym ubraniu, a blada była, jak płótno, i patrzyła ciągle na Tomka, tylko na Tomka, aż wstyd...

Adelka na różowo z gołemi ramionami i dekoltem, zupełnie, według mnie, nieestosownym dla ta-

kiej młodej dziewczyny — rozbawiona była, jak nigdy. Nawet jej humoru popsuć nie zdołał Teofil, gdy, podpiwszy sobie trochę, zaczął wygadywać brednie o sklepikach spożywczych, z których wyrastają kamienice sześciopiętrowe, a te znów zamieniają się w pałac. Ale głos jego zupełnie utonął w ogólnej wrzawie. Goście jedli, pili, śmiali się i krzyczeli w wielkim salonie o trzech oknach, zawałonym kosztownymi meblami i mnóstwem kwiatów. (c. d. n.)

EWA SZELBURG

SZPARA NAD PROGIEM

— ...już dobrze... już wszystko dobrze... Ja rozumiem, żeś się niepokoiła... I ty rozumiesz przecież, że nie mogłem wcześniej... ale już dobrze wszystko... już dobrze.

— Nie! nie! ty tylko tak mówisz, żeby mnie uspokoić. Ja wiem, ja wiem... jestem zła! jestem niemądra! Zatrnuwam ci życie drobiazgami...

I znowu łzy pośpieszne.

— Jakie to wszystko niepotrzebne—myśli Tymon. Zapala papierosa. Zapalka z różowym łebkiem drży mu w palcach.

Łzy płyną wciąż. Drobne są, okrągłe. Padają przedziutko na jeden i ten sam ząbeczek haftu u koszuli. Ząbek jest już cały mokry.

Tymon próbuje jeszcze raz rozpać ogienek uśmiechu:

— Nie jesteś taka. Wcale nie jesteś! Jesteś dobra, tylko sama nie wiesz o tem i mnie nie dajesz wiedzieć. A w gruncie rzeczy drobiazg—cała ta dziecinna sprzeczka.

Ale łzy płyną wciąż taksamo drobne i taksamo prędkie.

— Nie trzeba, moja mała. Nie trzeba już.

Choć... teraz jest już wszystko jedno.

Papieros zgaś. Czarna główka zetlonej zapalki potoczyła się na dywan. (Teraz już wszystko jedno) Ręka Tymona ziębła i na stół twardo opadła.

A właśnie teraz przestają płynąć łzy i nieśmiały uśmiech wychodzi na spotkanie.

Zapóźno. Nie spotka już nic, procz słów:

— Nie trzeba było łez... nie trzeba było, moja mała.

Na stole stoi jeszcze szklanka z tą herbatą. Szklanka z herbatą, która w radosnym popłochu gotowała się też prędko, prędko! żeby zdążyć na godzinę ósmą. A potem stygła... stygła... stygła... od godziny ósmej wieczorem do godziny pierwszej po północy.

Aż wystygła.

Ta szklanka z herbatą.

Powoli, bardzo powoli przechodzą przez pokój zmrożone chwile.

Twarde są. Nieme są. Głuche są.

W środku każdej z tych chwil, jak w twardej łupinie, boli nagie, krwią zapłynięte ziarno.

Pieją w dalekiej wsi koguty. Pieją białemi głosami, bo to już po północy.

— Dobranoc ci.

— Dobranoc.

Słone od łez wargi nie śmieją zbliżyć się do ust pobladyłych i chłodnych.

W mrocznym kącie pokoju kuli się mroczne ciało.

Dusznno jest w mieszkaniu.

I wie Agnieszka, że ten opar duszący z jej krwi wstaje. Z jadowitego soku, który bez jej woli w żyłach jej krąży,

Boli ją każda ta kropla, jak rozpalony ołów. Bola ją przepalone niemi żyły. Boli ją całe ciało, prześlągnięte jadem. Bola ją zatrute gniewem myśli, czarnymi żmijami wijące się w białem ciełe mózgu.

Straszno jest nocą w mieszkaniu.

Tuż obok leży Tymon.

Już śpi.

Śpi twardo.

(Tak łatwo jest zacząć we śnie.)

Drży Agnieszka.

Boi się. O siebie się boi i o Tymona. O nich dwoje.

Wie już, że nie ustrzegą ich malutkiego szczęścia cztery mocno dopasowane ściany. Nie zakryje ich opiekuńczem skrzydłem dach. Bo oto, gdy zgaśła lampę, szeroka szpara zarysowała się nad progiem. Taki drobiazg, rzecz niewarta uwagi... poprostu, drzwi się spaczyły.

Czy to jedna szpara robi się czasem w drzwiach starego domu?

A jednak Agnieszka nie może oderwać oczu od długiej smużki, bielejącej nad progiem.

Szpara jest mała, ale przecie dość duża, aby przez nią mogło się wślizgnąć niepostrzeżenie coś ze świata, lub... z domu odejść w świat.

KRONIKA PLASTYCZNA



Z wystaw w Zachęcie
Bolesław Szatkowski: portret hr. Haliny z Łabędzkich Rzewuskiej.

Wystawa, urządzona przez Związek Polskich Artystów-Grafików, była jedną z ciekawszych, jakie mieliśmy sposobność oglądać ostatnio w Warszawie. Grafika jest w Polsce sztuką zupełnie młodą; w ciągu kilkunastu, a może nawet kilku lat, rozwinęła się z zadziwiającą szybkością i dziś już, jak to mieliśmy właśnie sposobność stwierdzić, osiągnęła poziom wysoki—na miarę europejską.

Grafika—jak może żadna inna ze sztuk płaszczyznianych, związana jest z rzemiosłem, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. To jest rzetelna praca, trud fizyczny, gdy wyprężona ręka wpija się rylcem, czy dłutem w drzewo np. I dlatego, już niejako z samego założenia, grafik musi znać swój fach. Niema tu miejsca,—względnie, oczywiście—na dyletantyzm, na zakłamanie, na mydlenie oczu sobie i innym „kolorkami”, albo „nastrojem”.

To poważne, „fachowe” nastawienie nadało charakter całej wystawie. A taki, czy inny, charakter wystawy—to nietylko miara tych paru set wystawionych prac, które są w zasadzie graficznymi obrazami stalugowymi,—to coś daleko więcej. Grafika jest sztuką, związaną z życiem. Związana bezpośrednio z techniką, z materiałem—jako cel ostateczny ma znów służyć materiałowi, technice — służyć życiu. Bardziej może, niż każda inna sztuka, grafika właśnie powinna być przede wszystkim sztuką-rzemiosłem, w sensie norwidowskim. Jej zadaniem jest zdobienie

książki, kształtowanie afisza ulicznego, konstrukcja szyldu nad sklepem. I dlatego także ważne są poczynania tych młodych grafików, bo to oni przecież będą w najbardziej bezpośrednim zetknięciu kształtować zmysł estetyczny mas—ludzi ulicy.

Jest rzeczą znamioną i dalekie mogąca nasunąć wnioski, że najwybitniejszą indywidualnością wśród wystawiających bezwątpienia jest—kobieta. Pani Janina Konarska. Doskonałe wycucie płaszczyzny, w każdym milimetrze wyczuwalna znajomość i opanowanie materiału — połączone ze śmiałym, bardzo świeżym rozmachem i utajoną ekspresją — dają rezultaty nieprzeciętne. Piękny „Św. Michał, patron żołnierzy”, drzeworyt kolorowany (jak zresztą wszystkie prace p. Konarskiej) świadczy również o dobrej wyczuć barwy—niezbyt często u nas spotykanem.

Prócz p. Konarskiej, I-ą nagrodę otrzymał p. Kulisiewicz, który technikę drzeworytów opanował w sposób niezwykle. Do doskonałości również doprowadził technicznie swoje miedzioryty p. Wolff, którego kopja np. z obrazu Leonarda da Vinci (z Muzeum Czartoryskich w Krakowie) może śmiało iść w paragon z cyzelatorskimi sztychami starych mistrzów tej zamierzchłej sztuki. Interesujące są również drzeworyty pp. Duninówny, Cieślewskiego (jun.) Na wszystkich tych młodych rozciągają się wpływy



Z wystaw w Zachęcie:
K. Dąbrowska: „Prababcia”. Miniatura.



Z wystaw w Zachęcie—„Bractwo św. Łukasza”:
Zamojski Jan: „Ślepy”.

mistrza tej szkoły—Skoczylasa. W dziedzinie litografji wciąż jeszcze króluje niepodzielnie Wyczółkowski, którego prace, nadesłane poza konkursem, są istotnie „hors concours”.

* * *

W „Zachęcie” — rewolucja. A przynajmniej — małe oczyszczenie zatęchłej atmosfery. A przynajmniej — pierwszy świeży powiew.

Byli uczniowie prof. Pruszkowskiego stowarzyli się w „Bractwo św. Łukasza” i urządzili pierwszą zbiorową wystawę poza Szkołą Sztuk Pięknych. I wystawa ta — istotnie, nie jest jeszcze rewolucją. Nie jest nawet, właściwie, rewelacją. Ale idzie od niej właśnie ów świeży wiew, — coś zdrowego, młodego. Oni mają talent, ci młodzi malarze — mają talent i pracują!

I dlatego, w imię spodziewanych przyszłych osiągnięć — warto przymknąć oczy na te i inne „puszczone kawałki,” uchybienia kolorystyczne, poświęcenie kompozycji, czy formy, nadmiernemu realizmowi, lub historyzmowi. Lepiej przecież pomyśleć, że Michalak wyleczy się z owego przerostu tematyczności, owego częstego gubienia się w zbytycznej szczegółowości, że wyleczy się z pewnej brutalności zestawień barwnych — a zato tem mocniej podkreślić jego siłę i rozmach, jego monumentalne tendencje kompozycyjne. Lepiej nie zastanawiać się nad szarżą i pewną płytkością kolorytu niektórych prac Podolskiego, lecz raczej oprzeć nadzieje na przyszłość tego malarza na owym ślicznym, niebieskim tonie, wydobyty w portreciku dziecka.

Najciekawszymi jednakże wydają się Gotard i Cybis. Gotard oszołamia poprostu swą niesamowitą techniką i siłą ekspresji. Przykry chwilami realizm i pewne zgrzyty w zestawieniach barwnych — znikają w „Chince” i w „Portrecie Michalaka.” Ten ostatni zwłaszcza, przez połączenie zalet formalnych z pięknym wyrazu — wzorowy przytem w swej technice olejnej — mógłby wielu „dojrzałym” portrecistom posłużyć za przykład do naśladowania...

Obrazy Cybisa interesują — więcej nawet — drażnią. Jest coś niesamowitego w tych postaciach o dziwacznym uśmiechu, przymrużonych oczach, z owemi podniesionemi w górę ramionami, wąską klatką piersiową, skrzyżowanemi rękami, wystylizowanych — mimo swych łowickich wełniaków — na modłę starych mistrzów holenderskich. Ale te rzeczy fascynują — i niewątpliwie Cybis należy do najoryginalniejszych, a jego obrazy, — do najodrobniejszych z wystawy. Przytem Cybis ma bardzo subtelny koloryt — jego złoto-zielonawe tony, tworzą jakieś nierealne, a przecież bardzo dobrze trzymające się i ciepłe zestawienia.

Bractwo św. Łukasza — pomyślne horoskopy i wszelkie możliwe nadzieje na najbliższą przyszłość! l. j.

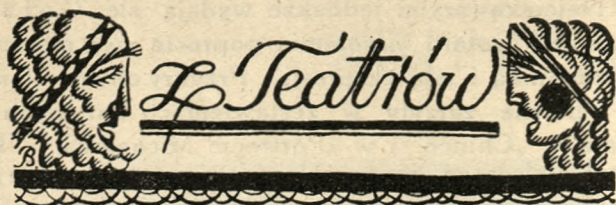


ŚWIĘTY IZYDOR PATRON ORACZY

Z wystawy grafików.

Janina Konarska: „Święty Izidor, patron oraczy”.





TEATR NARODOWY:

„Romans florencki“, sztuka romantyczna w 5 aktach Stefana Kiedrzyńskiego. Reżyserja Józefa Węgrzy-
na. Dekoracje Wincentego Drabika.

Florencja! W tem jednym słowie już są kwiaty słońce i miłość! Działa ono sugestywnie samem swem brzmieniem, jak muzyka. Jeżeli dodać jeszcze słówko „romans“ i „romantyczny“ — będziemy mieli doskonale spreparowany lep na publiczność. Pensjonarki będą sobie doradzały szeptem: „Idź, idź na tę sztukę: tam się kochają!“ Właściwie—deklamują o miłości i śmierci. Z tych dwu leit-motywów poezji romantycznej autor ułożył dwubarwną szachownicę. Na tem polu ustawił pięć figur i kazał im grać w ciuciubabkę. Cała melodramatyczna intryga sztuki osnuta jest na nieporozumieniu, z którego namiętność wy-
ciąga tragiczne konsekwencje.

Przyznaję, że szłam na tę sztukę z prawdziwą ciekawością. Jak do tematu renesansowego podejście Kiedrzyński, współczesny komedjopisarz o satyrycznem zacięciu? Podszedł po swojemu, jak dobry majster teatralny. Dał widowisko, które wszystkiemi siłami stara się wmówić w nas, że jest poezją, a nią nie jest i być nie może. Brakuje mu do tego jednej malutkiej rzeczy: iskierki natchnienia. A tej nie da ani najlepsza nawet technika, ani znajomość teatru, ani rytmiczne frazesy o wielkich namiętnościach.

Przestudjowanie wszystkich książek Chłędowskiego — jest rzeczą pomocną, ale nie istotną. Wielkie epoki dziejowe, podobnie jak niepospolici ludzie, nie znoszą połowiczności. Można stać się albo ich niewolnikiem, albo panem. Kiedrzyński chciał obrać drogę pośrednią i wgryzł się w epokę Odrodzenia, ale się z nią niezżył i nie zespolił. I to krążenie wokół niej budzi w widzu uczucie niepokoju, jakiego się doświadcza na widok kołującego nad upatrzonym łupem jastrzębia. Niestety, autor co chwila nam przypomina, że nie orłem jest, ale jastrzębiem.

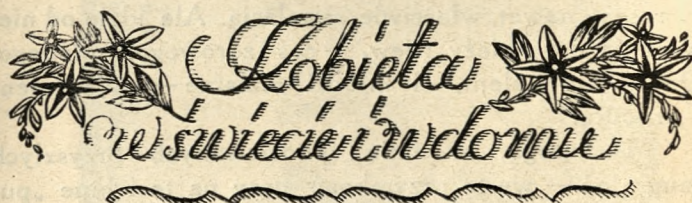
Nie ma odwagi przystąpić do tematu bezpośrednio, ująć go gołemi rękami. Nakłada szekspirowskie rękawice i zatracą wrażliwość dotyku. W aksamit i brokaty renesansowych kostjumów ubiera drewniane szablony, nie ludzi żywych. Przerysowuje je i przebarwia, nadmiernie podkreślając w każdym jedną wyłączną namiętność, aż wreszcie zatracają wszel-

kie cechy istotnego człowieczeństwa. Tego rodzaju role są bardzo lubiane przez aktorów, gdyż otwierają rozległą arenę dla patetycznych zapasów, kończących się zazwyczaj klęską prawdziwego artyzmu. Tak było i na ostatniej premierze. Wszyscy grali szablonami, nie wyłączając nawet Broniszówny, której od początku do końca kazano być demonem.

Najciekawszym momentem były dekoracje Drabika. Szkoda jednak, że w jego Florencji panuje zawsze tylko świt, zachód i noc księżycowa. Wprawdzie pozwala to na wydobywanie łatwych kolorystycznych efektów z szafirowych pinii i cyprysów na tle pomarańczowej zorzy, ale nie daje pojęcia widzowi, czem są Włochy w pełnym blasku dnia żywego.

Na zakończenie—drobna rada. Autor, z niesłychaną zręcznością zonglujący swemi pomysłami, przetrzucający je z płaszczyzny powieści na scenę i odwrotnie, dopóki nie znajdą właściwego miejsca—powinien jaknajprędzej sfilmować „Romans florencki“. Należałoby jeszcze podlać całość sosem historycznym, wciągnąć do akcji Medyceuszów i Savonarolę, o których się tylko ubocznie wspomina w sztuce, a przede wszystkim wprowadzić jedną kapitalną scenę, któraby dopełniła miary tego Grand Guignolu: zlynchowanie trucicielki przez tłum florencki. Widzom, którzy w ostatniej odsłonie zakładali się, czy Simona pocałuje zatruty szkaplerz, czy go nie pocałuje, stanowczo brakowało tego „moralnego“ zakończenia. Tymczasem, jak na porządny teatr, „Romans florencki“ ma za wiele trupów, na sensacyjny film — stanowczo zamałol!

S. P. O.



KOBIETA KUSTOSZEM BIBLIOTEKI UNIWERSYTECKIEJ WE LWOWIE

Godność kustosa przy Bibliotece Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, związaną z 6 st. st., nadało Min. W. R. i O. P. p. Dr. Annie Jędrzejowskiej w uznaniu jej pracy bibliotecznej i studjów nad historją drukarstwa lwowskiego. P. Jędrzejowska jest pierwszą kobietą w Polsce, której powierzono owo odpowiedzialne stanowisko.

STUDJUM O POLSCE W PRASIE ANGIELSKIEJ

P. Hanna Skarbek, współpracowniczka naszego pisma, bawiąc ubiegłego lata w Anglii, napisała na zaproszenie redaktora „Royal Military College Magazine“ zwięzłe studjum o życiu i oby-

czajach ludu polskiego. Studium to zostało umieszczone w zeszłorocznym gwiazdkowym numerze wymienionego pisma.

Autorka w pracy swojej oparła się na dziełach Dra Adama Fiszerera oraz J. Chociszewskiego.

„Royal Military College Magazine” w każdym swoim numerze poświęca specjalne miejsce studjom etnograficznym o różnych narodach, dotychczas jednak głucho w nim było o Polsce. Kraj nasz jest dla Anglii równie nieznany i egzotyczny, jak dla nas np. Tybet, czy Kaszmir. Ponieważ „Pole” oznacza po angielsku zarówno „polak”, jak „biegun”, więc zdarza się często, że niedoświągłi w geografii i historii synowie Albjonu wyobrażają sobie, że Polska leży pod samym biegunem północnym, a w Warszawie na Placu Teatralnym — zimą można polować na wilki.

To też za zasługę należy policzyć pani Hannie Skarbek, że nie żałowała trudu, aby w sposób wdzięczny i przystępny zaznajomić czytelnika angielskiego ze zwyczajami naszego ludu, pełnymi poezji i rasowej tężyzny polskiej.

R. C. H.

DZIWNE OBYCZAJE W CHINACH

W państwie Niebieskiego Smoka do dnia dzisiejszego w sferach pół-inteligentnych utrzymuje się zwyczaj, że za kobietę, którą pragnie się poślubić, płaci się ojcu albo starszemu bratu określoną sumę, zależnie od jej piękności i rozmaitych innych przyrodzonych zalet, lub talentów.

Ostatnio „interesa” te zaczęły być przeprowadzane przez odpowiednie biura pośrednictwa małżeństw, które w Chinach stały się ogromnie popularne. Taki przedsiębiorca biura różni się od swego europejskiego kolegi tem, że nie nabywa — jak to się dzieje u nas — fotografii z opisem życiorysu kandydatki do stanu małżeńskiego, lecz kupuje ją, poprostu, na własne ryzyko i płaci za nią rodzicom taką sumę, jaką zapłaciliby narzeczeni.

Kupiona dziewczyna musi zamieszkać na składzie, czyli stać się niby żywym towarem, zmagazynowanym w ręku właściciela biura pośrednictwa, który im bardziej szeroko ma postawiony interes, tembardziej bogaty asortyment „towaru” musi posiadać na składzie. Płaci za każdą dziewczynę od 20 — 100 funtów szterlingów, czyli od 850 — 4.500 złotych.

Przedsiębiorstwo takie obliczone jest głównie na eksport, t. j. musi dostarczać „towaru” tym rodakom, którzy wyemigrowali do Europy, Australji, Ameryki i którzy pragnęliby poślubić tylko dziewczęta z własnej ojczyzny. Zapotrzebowania są ogromne, ale i wymagania niezwykle.

Taki syn Państwa Niebieskiego, — z bogaciwszy się na obczyźnie, — pisze długi, a szczegółowy list do biura pośrednictwa i prosi o przysłanie mu żonki młodzieńczej (nie wyżej lat 16-tu). Zapłaci więcej, ale żeby była: dziewicą, która nigdy dotychczas nie opuściła domu rodzicielskiego; aby miała nóżkę tak małą, jak płatek róży; rączkę gładziutką i puszystą, niczem aksamitna brzośkwinią; paznogi na 4 cale długości; oddech, tchnący zapachem balsamicznych lasów koreańskich; oczy z połyskiem drogocennych kamieni, i t. d., i t. d., i t. d. Im bardziej poetyczne jest wymaganie — tem większą sumę może zapłacić taki chcińczyk.

Firma, po otrzymaniu zgóry gotówki, ekspedjuje „żywy towar”, zalewający się gorącymi łzami. Znamienne jest, że biuro pośrednictwa nie odpowiada za całość towaru, oraz za jego „zepsucie” się, jakie może nastąpić podczas parotygodniowej podróży. Można sobie wyobrazić, jakie nieszczęśliwe pary małżeńskie są kojarzone z sobą na całe życie!

H. S.

KU UWADZE... CZYTELNICZEK

Amerykanki zaczęły chorować na suchoty. Urzędowa statystyka w Stanach Zjednoczonych stwierdza zatrważające objawy chorób piersiowych wśród dziewcząt i młodych kobiet od lat 18 — 25.

Gdy w r. 1915 na terytorjum Ameryki umierało na suchoty 3,8% kobiet więcej, niż mężczyzn, statystyka za rok 1927 wykazała, że zmarło ich o 50% więcej.

Wszystkie powagi lekarskie, z dr. Dearholtem z Nowego Jorku na czele, przychodzą do przekonania, że choroby piersiowe u amerykanek zaczęły szerzyć się wprost epidemicznie, dzięki głodzeniu się w celu utrzymania modnej linii, a następnie od czasu wprowadzenia jazz-bandu i charlestona!

Kilka godzin, spędzanych codziennie w dusznych, zadymionych, wypełnionych niezdrowymi wyziewami i kurzem dancin-gach, na tańczeniu dzikiego, wyczerpującego charlestona — a później wypijanie natychmiast chłodzących napojów — oto najistotniejsza przyczyna zaskłębienia i szerzącej się epidemji galopujących suchot w Ameryce.

H. S.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES OPIEKI NAD DZIEĆMI

W połowie lipca r. b. odbędzie się w Paryżu parotygodniowy kongres opieki nad dziećmi i młodzieżą.

Wszystkie państwa reprezentowane będą przez specjalne delegacje.

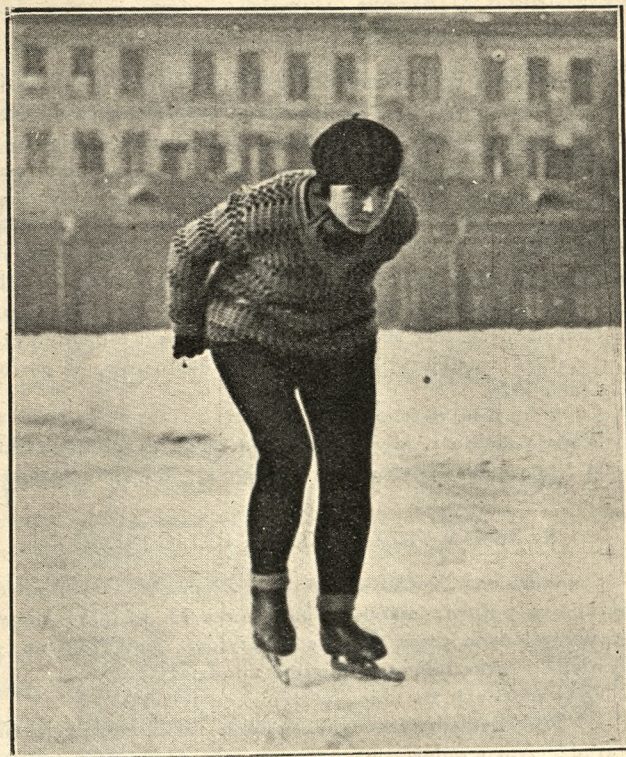
Polski Komitet współpracy z kongresem utworzony został pod przewodnictwem p. B. Krakowskiego, naczelnika wydziału opieki nad dziećmi i młodzieżą w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej.

Na posiedzeniu Komitetu postanowiono zwrócić się do pani Prezydentowej Mościckiej z prośbą o przyjęcie przewodnictwa honorowego, oraz ustalono listę osób, którym powierzono opracowanie referatów na kongres.

Podczas kongresu w Paryżu czynna będzie międzynarodowa wystawa opieki nad dziećmi, oraz wystawa mieszkań robotniczych.

W skład Komitetu polskiego wejdą też delegaci zarządów miast: Warszawy, Łodzi, Poznania, Krakowa, Wilna i Lwowa. W zorganizowaniu wyjazdu delegacji do Paryża ma przyjąć z pomocą Komitetowi Ministerstwo Pracy i Opieki Społ.

H. S.



P. Neringowa ustanowiła dwa nowe rekordy na 500 i 1000 m. w jeździe na łyżwach w Dolinie Szwajcarskiej.

PORAZ OSTATNI

W Paryżu przebywa obecnie pewna młodzianka amerykańska, studentka, miss Carla Hovins, która wyruszyła w daleką podróż naokoło świata, aby go ujrzeć poraz pierwszy i poraz ostatni... miss Hovins bowiem grozi zupełna utrata wzroku.

Przed rokiem studentka przebyła ciężki tyfus; podczas rekonwalescencji okazało się, że nerwy wzrokowe są poważnie zaatakowane, i wzrok pacjentki począł powoli, lecz stopniowo słabnąć. Dzielna dziewczyna zwróciła się do pierwszorzędnego okulisty i prosiła go o bezwzględne wyjawienie jej prawdy. Dowiedziawszy się, że choroba jest nieuleczalną, że grozi jej ślepotą, że najwyżej rok czasu będzie się mogła cieszyć swym wzrokiem — dziewczyna nie oddała się rozpacz. Przerwała studia, spieniężyła, co mogła, zaciągnęła pożyczkę u krewnych i, nie tracąc ani jednego dnia, ruszyła w świat, aby nacieszyć swe oczy widokiem niezliczonych cudów, utrwalić je w duszy i zebrać, niby do szkatuły drogocenne skarby, na czas, kiedy ma nadejść dla niej wieczna noc.

Miss Carla nie próżnuje; nie pozwala sobie ani na jedną godzinę wypoczynku ponadto, co wymaga organizm. Ogarnięta gorączkowym pośpiechem, jeździ z kraju do kraju, z miasta do miasta, robi zdjęcia fotograficzne i notuje skrupulatnie to wszystko, co ją porywa, dziwi, zachwyca, i na co patrzą jeszcze zwolna umierające oczy...

Zwiedziła Japonię, Chiny, Indje, Afrykę; jest już w Europie; w powrotnej drodze chciałaby zdążyć jeszcze do południowej Ameryki, ale już jedno oko odmawia posłuszeństwa. Matematycznie obliczony czas, zebrany z wysiłkiem kapitału, dobiegają końca. A kiedy wreszcie nastanie ten straszny dzień, gdy zniknie z przed oczu jej świat — dzielna dziewczyna ma zamiar, przy pomocy swej siostry, spisać to wszystko, na co patrzyły zdrowe jej oczy; ma zamiar podzielić się oglądaniem cudami z tymi, którzy, aczkolwiek zdrowi i szczęśliwi, nie mogą pozwolić sobie na zwiedzenie tajemniczych, fascynujących krain.

Dzielna, pracowita i odważna amerykanka budzi wszędzie odruch szczerzej sympatii. Z niespotykanym spokojem, niemal z humorem oczekuje tej godziny, która stanie się dla niej zapowiedzią kalectwa na całe, długie jeszcze życie.

H. S.

CUKIERKI I PŁEĆ PIĘKNA

W jednym tylko wypadku kobiety potrafią, pono, zapanować nad sobą i nie raczyć się łakociami: gdy chodzi o utrzymanie węzowej figury... Tak twierdzą, złośliwie, przedstawiciele płci brzydkiej i tak twierdzą fachowcy: pragnienie pozostania smukłą i stania się jeszcze coraz smuklejszą — zadało śmiertelny cios cukrownictwu w Anglii. Córy Albjonu, aczkolwiek nigdy zbyt niuśną się nie odznaczały, dziś, w celu zachowania modnej figury, zaczęły bojkotować słodycze: cukierki, ciastka z kremem, czekoladę. Dość, że Izba Handlowa w Manchesterze, w swym rocznym raporcie o konsumpcji cukrów skonstatowała, że import rafinady i czekolady w r. 1927 zmniejszył się o 6.000.000 centnarów, w porównaniu do roku 1926.

Cukiernicy są w rozpacz.

Błagają niebiosy, aby zapanowała moda na obfite kształty niewiast i temsamem pozwoliła im raczyć się dowolnie cukierkami!

H. S.

KURSY WYKSZTAŁCENIA RELIGIJNEGO

Sygnalizujemy, że Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek organizuje w połowie marca r. b. (w dn. 13, 14 i 15) pierwszy cykl z uchwalonych przez komitet odczytów, mających na celu wychowanie i wykształcenie religijne młodzieży.

Cykl pierwszy ma objąć następujące tematy:

1. Wpływ duchowego usposobienia matki na dziecko przed jego urodzeniem i radość macierzyńska. 2. Cel wychowania religijnego. 3. Rozwój pierwszych pojęć religijnych. 4. Praktyki religijne, rachunek sumienia. 5. Znaczenie przykładu rodziców i otoczenia. 6. Rola matki w domowym nauczaniu religii (po-

dręczniki, książki). 7. Wychowanie dziecka w czystości ducha i myśli. 8. Spowiedź i Komunia Św. 9. Literatura religijna dla dzieci. 10. Bierzmowanie, modlitwa. Zgłoszenia słuchaczek przyjmuje biuro Zjednoczonych Ziemianek (Warszawa, Marszałkowska 149), do dnia 1 marca.

WYBITNE AMERYKANKI

W ostatnich tygodniach, za pośrednictwem ankiety, znowu trzy amerykanki zostały uznane za ozdoby rodu niewieściego w Stanach Zjednoczonych.

Są niemi! sędzia pokoju — Florencja Allan, dekoratorka kościelna, malarka — Edna Browning Ruby i aktorka — Ewa La Gallienne.

Pierwsza, praktykująca od kilku lat w Ohio, została uznana za najwybitniejszą prawniczkę amerykańską.

Edna Ruby — jest pierwszą i jedyną kobietą w Stanach Zjednoczonych, która zajmuje się dekoracyjną sztuką kościelną. Zasługi jej, położone w tej dziedzinie, są ogromne.

Trzecia z kolei zdolna i wytrwała aktorka, pragnąc podnieść poziom literacki repertuarów teatralnych w Nowym Jorku, gdzie nieraz przez cały rok grane są te same, przeważnie mało wartościowe sztuki, pokonała cały szereg piętrzących się trudności, otwierając nowy teatr „Civic-Repertory” i wyszkalając nowy zespół artystów, który mógłby się podjąć odpowiedniej interpretacji dzieł o prawdziwie artystycznej wartości.

W dowód niezwyklego uznania za specjalne zasługi w dziedzinie sztuki — Ewa La Gallienne otrzymała nagrodę 5000 dolarów, którą „Pictorial Review” przeznacza rokrocznie wybitnym artystom.

H. S.



Zamaskowane bandytki w służbie dobroczynności. Uczestnicy polowania „par force” w Tiltan Village (Anglia) byli zaskoczeni przez zamaskowane damy z towarzystwa, które pod groźbą rewolwerów wymusiły na nich datki na cel dobroczynny.

DZISIAJ INACZEJ

Dziesięć lat prawie upłynęło od końca działań wojennych, a wzburzone i rozkołysane huraganem wojny fale wciąż jeszcze uciszyć się nie mogą—echa wojny ciągle jeszcze nas dochodzą; żyjemy w jakimś czasie przejściowym, w oczekiwaniu powrotu normalnego życia, powrotu pracy spokojnej, bez obawy wstrząsów i przewrotów, które poderwać mogą nawo to, co od fundamentów wznosić zaczęto. Pracy tej wyłania się tyle, że jej na życie kilku pokoleń wystarczy.

Wartość dokonanego dzieła pozostaje zawsze w ścisłej zależności od wartości ludzi, co je tworzą; to też o ten materiał ludzki przedewszystkiem troszczyć się należy, jeżeli troska o przyszłość kraju leży nam na sercu, jeżeli oczami duszy widzieć ją chcemy wielką i promienną.

Huragan wojny, przeszedłszy nad światem, tak do głębi poruszył wszystko i przeinaczył, tyle pracy i wysiłków zmarnował, tyle nam gorzkich prawd odkrył, tyle rozwiązał złudzeń i tak inaczej do siebie ustosunkował ludzi—że wielu z nas gubi się dziś w tych nowych warunkach. Obcymi często czujemy się dziś wśród swoich. Takie jednych od drugich dzielą różnice zasad, poglądów i zewnętrznych form nawet, jakgdybyśmy nie żyli współcześnie, nie byli synami tej samej ziemi, członkami tego samego społeczeństwa.

Taki stan rzeczy jest, poniekąd, wynikiem gwałtownej zmiany warunków ekonomicznych i ustroju politycznego naszej powojennej doby. Zmiany te przetasowały niejako warstwy społeczne. Ludzie, dawniej nadający ogólny ton życiu, łączyli po większej części z zamożnością—kulturę. Stanowiska wyższe, odpowiedzialne piastowali ci, co przerastali ogół wykształceniem, zdolnościami, szlachetnością charakteru, lub pochodzeniem z rodów o wielkich tradycjach. Tradycje te ich samych obowiązywały conajmniej do przestrzegania zasad honoru, wnoszenia w życie pewnej rycerskości i wytworności.

Wpływ tych „dawnych panów“ dodatnio odbijał się na całym społeczeństwie: —brano ich za wzór, starano się naśladować ich sposób bycia, elegancję i wytworność, zarówno zewnętrzną, jak i duchową.

Za ich przykładem ludzie warstw wykształconych garnęli się do pracy w instytucjach społecznych, dobroczynnych i oświatowych, w których oni stali na czele. Tu spotykało się wszystko, co lepsze w narodzie; a ożywieni duchem patriotyzmu, troską ciągłą o zachowanie odrębności narodowej, która solą w oku była zaborcom—ludzie ci mieli głębokie poczucie przynależności do jednej wielkiej całości, uczucie braterstwa we wspólnej, wszystkich ożywiającej, wszystkich łączącej, idei.

Jakże to dzisiaj wygląda inaczej!

Wojna pozbawiła wielu z tych ludzi ich dawnego stanowiska, zamożności i wpływu, wyrzuciła ich poza nawias życia. Na czoło narodu wysunęli się ludzie nowi i wnieśli ze sobą inne cechy, inne ideały i inne dążenia.

Wielu z tych „nowych panów“ dorobiło się majątku, korzystając z nienormalnych warunków chwili, wielu z nich wzburzona fala zupełnie przypadkowo wyniosła na szczyty, o jakich nigdy marzyć nawet nie śmieli, bo nie dorastali do nich umysłem, ani charakterem. Za szybko wyrosli; to też majątkiem i zajmowaniem stanowiskiem często sami sobie tylko imponują najbardziej. Śmieszni są swoją arogancją i zarzuceniem w oczach tych, co inne, prócz pieniędzy i wpływów, cenić umieją wartości, co obcowali z prawdziwie kulturalnymi, wytwornymi i szlachetnymi jednostkami z dawnych czasów.

Młode pokolenie, które wyrosło i dojrzało wciążgu ostatniego lat dziesiątka, także różne jest od dawnego. Z przykrością zauważyć się daje, że uprzejmość w obęjściu, grzeczność i delikatność, cechujące ludzi dobrze wychowanych, prawie zniknęły. Miejsce ich zajęło lekceważenie wszelkich prawideł i przepisów, obowiązujących w dobrem towarzystwie, a więc brutalność i prostactwo.

Zmiany te zrozumiałe są, gdy przypomnimy sobie, że wojna, zabierając z domu ojców, podkopała byt rodziny, lub rozbiła ją zupełnie. Zmusiła ona matkę rodziny do wzięcia na swe barki ciężaru, przerastającego jej siły, do szukania poza domem pracy zarobkowej. Troska o zaspokojenie najpierwszych potrzeb dzieci kazała jej zaniedbać do pewnego stopnia ich wychowanie. Chłopcy jeszcze w wieku szkolnym przerywali naukę i szli do wojska, młode dziewczęta brały na siebie obowiązki sanitariuszek, dzieci młodsze rosły bez opieki rodziców, pozbawione wpływu domowego ogniska; rosły, jak mogły, robiły, co chciały. Nienormalne te warunki bytu nie pozostawić po sobie śladu. Kilka lat, spędzonych w szpitalach, koszarach, czy okopach, gdzie zapomnieć trzeba było o wielu wymaganiach kulturalnego życia i przystosować się do najprymitywniejszych warunków bytu—wyjałowiły z niedojrzałych jeszcze, a już czynnych uczestników wojny przyzwyczajenia, cechujące ludzi kulturalnych i dobrze wychowanych.

Elegancję zastąpiło prostactwo, przejawiające się w sposobie myślenia i wyrażania tych myśli, w zachowaniu młodzieży względem starszych, w obcowaniu wzajemnem ludzi, stykających się ze sobą przygodnie, w stosunkach towarzyskich i rodzinnych. Dawna uprzejmość, cechująca Polaków, elegancja, która zyskała im nazwę „francuzów północy“, szacunek, z jakim odnosili się do kobiet—są dziś jedynie wspomnieniem dni dawno przeżytych, wspomnieniem niezapomnianem dla pokolenia, które wzrosło w tej atmosferze przychylności wzajemnej ludzi. To też dziś każde zetknięcie się z typem ludzi, wytworzo-

nym po wojnie, wprost lękiem ich przejmuje, razi niemile i ubolewać każe nad tem cofnięciem się społeczeństwa w kulturalnym rozwoju i jego przejawach w życiu i stosunkach codziennych. Tem boleśniej się to odczuwa, że dziś, kiedy wolni jesteśmy, nikt obcy nie broni nam dążyć do udoskonalenia, nikt ruchu w tym kierunku nie tamuje...

Odzyskanie niepodległości narodowej—to dzieło wiekopomne, dzieło, które w naszej historii nową erę zaczyna. Mamy po długich latach niewoli dom nasz własny, w którym niezależnymi panami jesteśmy. Nie dość jednak dom ten posiadać: trzeba go jeszcze urządzić tak, żeby jego mieszkańcy czuli się w nim dobrze, mile i zacisznie. Dom, w którym my obecnie żyjemy, choć własny i drogi nam wszystkim, pozbawiony jest dotąd wdzięku, jaki cechuje zwykle mieszkanie ludzi nawet ubogich, ale szlachetnych, czujących, wykształconych, kulturalnych i dobrze wychowanych. Ten wdzięk nadać możemy wspólnemu naszemu domowi, jeżeli zaprowadzimy w nim w każdej dziedzinie czystość, ład i porządek, jeżeli uwzględniać będziemy prawa wszystkich jego mieszkańców, jeśli uświadomimy sobie nareszcie, że największą sumę szczęścia osiąga się w środowisku, gdzie wszyscy czują się dobrze i spokojnie, gdzie szczęście nasze dzielimy z innymi, gdzie współzjemy ze sobą, jak należy. Współżycie z ludźmi wymaga pewnej wyrozumiałości, pewnych ofiar na rzecz współbraci, wyzbycia się brutalnego egoizmu, jaki zdaje się być hasłem dnia dzisiejszego i jego prawem. Umiejętność obcowania z ludźmi—to sztuka niełatwa. Zdobyć ją może ten jedynie, komu w drodze do jej nabycia przewodnikiem jest dobroć i miłość ludzi, komu rozum drogę tę oświecla, a pobłażliwość—o spotykanych na niej cierniach i kamieniach zapominać pozwala.

Jednak trud, poniesiony tutaj, sówicie się opłaca tem, że ludzie, z którymi obcujemy, bliskimi nam się stają, że żyjemy w atmosferze życzliwości i sympatji, bo sercem—serca się zdobywa.

L. Gerlachowa.



KOMPOZYCJE

Zanim przejdę do rozważań na temat kompozycji*) i jej znaczenia w sztuce malarskiej, postaram się w krótkości omówić parę kwestyj, związanych z malarstwem dekoracyjnym, uważając za konieczne zwrócenie specjalnej uwagi na ten odłam sztuki, który stoi najbliżej naszych zainteresowań.

Malarstwo dekoracyjne, jako zaczątek sztuki malarskiej wogóle, posiada odrębne stanowisko w sztuce malarskiej, ugruntowane silnie swemi założeniami, rozwijając i rozszerzając skalę techniki, przeniknęło w najrozmaitsze dziedziny życia, umożliwiając nam bezpośrednie obcowanie ze sztuką. Chcąc zapoznać się z rozwojem sztuki malarskiej, trzeba przedewszystkiem oprzeć się na malarstwie dekoracyjnym, które np. u nas było jedynym świadectwem tkwiących w nas malarskich możliwości twórczych. W czasach, gdy np. we Włoszech ujawniają się indywidualności malarskie, porywające swym genjuszem cały istniejący świat kulturalny—brak u nas wogóle świadomego tworzenia, świadomego poszukiwania dróg rozwoju.

Przyczyn należy szukać w historii.

Faktem natomiast jest, iż posiadamy nadzwyczaj bogaty materiał kompozycyjny, zawarty w strojach, i t. d. i t. d., odzwierciadlający specyficzne cechy charakteru.

Materiał ten jest do czasów dzisiejszych oparciem dla rozwoju malarstwa dekoracyjnego, które nie jest więc czasowym kierunkiem przemijającym, lecz dalszym rozwojem, dalszym ciągiem dawnych poczynąń twórczych,

* * *

Wszystko, co nas otacza, co zmysłem wzroku postrzegamy, jest, z punktu widzenia malarskiego, barwą i kształtem. Barwa i kształt*) są treścią sztuki malarskiej. (Nie należy mieszać pojęć: kształt równa się formie. Forma jest pojęciem szerszem, oznacza uzewnętrznienie treści).

Natura, z wszelkimi jej przejawami, jest niewyczerpanem źródłem różnorodności barw i kształtów. Z niej czerpie malarz tematy do swych dzieł. Bezpośrednio—przez malowanie tejże natury (pejzaż, portret i t. d.), pośrednio—przez tworzenie kompozycji, w których zestawienia barw i kształtów powstają pod wpływem oddziaływania natury na wyobraźnię artysty.

Jednem z zasadniczych założeń malarza będzie dążność do wydobywania wrażenia całości obrazu. Urzeczywistniając swe założenie, opiera się artysta na silnej konstrukcji.

Konstrukcja—czyli układ—rozplanowanie barw i kształtów na określonej płaszczyźnie—stanowi kom-

*) Kompozycje—słowo pochodzenia łacińskiego, pono=kłaść, cum=z. Dekoracyjność=decorum—ozdoba.

*) Kształt—słowo pochodzenia niemieckiego, Gestalt—postać.

pozycję obrazu. Kompozycja jest tą bezwzględną wartością, wynikiem uzewnętrznienia pierwiastków twórczych artysty—jest niezaprzeczoną własnością indywidualną twórcy.

Opierając się na powyższym, nie można stwarzać prawideł dla tworzenia kompozycji — prawo harmonijności barw i kształtów tkwi w każdym artyście i uzewnętrznia się w indywidualnym układzie.

Możemy, natomiast, na podstawie istniejących kompozycji wyodrębnić powtarzające się schematy kompozycyjne. Przyjmując podział kompozycji na: kompozycję przestrzenną i płaską—rozważmy pokrótce zasadnicze wytyczne, według których dane kompozycje są tworzone. Kompozycję przestrzenną spotykamy we wszelkich obrazach, malowanych z natury, bądź też z wyobraźni, mających jednak za zadanie ułożenie w ramach formatu barw i kształtów w ten sposób, by obraz dawał wrażenie przestrzeni. Oparciem dla tejże kompozycji będzie w dużej mierze nauka perspektywy, nauka o wykreślaniu skrótów płaszczyzn w przestrzeni, oraz nadawanie światłocienia kształtom, czyli tworzenie bryły.

Przeprowadzanie pewnych podziałów i schematyzowanie kompozycji przestrzennych leży w zakresie niemożliwości ze względu na różnorodność kombinacji w przestrzeni. Kompozycja płaska jest układem barw i kształtów na jednej płaszczyźnie. Kompozycję płaską spotykamy we wszelkich pracach dekoracyjnych (malowidła ściennie, kilim, okładka, afisz, wzór do robót i t. d.)

Kompozycję tworzy się w określonym formacie. Format przeważa prostokątny, jest tu różnorodność ustosunkowania wielkości boków; pozatem koło, trójkąt, owal, oraz kombinacja kilku formatów razem,

Mając powyższe na uwadze, należy zastosowywać wzory do tego formatu, w jakim są komponowane. Kompozycja, rozmieszczona w kwadracie, nie może być wtłoczona w ramy, np., owalu. Nie wykluczam możliwości zastosowywania wzorów do innych formatów — np.: kompozycję, tworzoną w trójkącie, zawsze można zastosować, jako narożnik formatu prostokątnego,—zwracam tylko uwagę na znaczenie formatu, gdyż niejednokrotnie spotyka nas zawód, iż wzór, odpowiadający pod każdym względem wymaganiom estetycznym, w robocie nie daje efektu, jaki w wyobrażeniu dawać powinien. Pozatem należy zawsze pamiętać o pozostawieniu przestrzeni, idącej równolegle do linii, utworzonej przez połączenia najbardziej wystających nazewnątrż kształtów wzoru.

Założenie danego artysty, by wydobyć bezpośrednie wrażenie całości kompozycji, staje się naszym założeniem; dlatego też, dobierając barwy do roboty, należy zestrajać je w harmonijną całość. Trzeba świadomie iść po linii wytycznej twórcy, wystrzegając się dowolności zmian, które mogą wypaczyć istotną wartość wzoru.

Wanda Młodożeńcowa.

EKONOMJA DOMOWA NA KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM

2

Właściwym terenem kongresu stały się nie sale obrad, a oddziały wystawowe każdego z państw, gdzie praktyczne gospodynie naprędce zorganizowały jakieś kąciaki, gdzie zawsze można było kogoś pożądanego zastać, omówić liczniejsze zebranie prywatne, albo zasięgnąć niezbędnych informacji.

Dopiero 3-go dnia przeniesiono obrady napowrót do Kapitolu, i tam odbyły się dwa bardzo owocne i zajmujące posiedzenia na temat najaktualniejszy: naukowej organizacji domowej.

Rzecz naturalna, że uwagę ogólną przykuwała przede wszystkim pełna temperamentu i energii p. Frederick, dla której przejechanie dwukrotne przez Ocean w ciągu dwóch miesięcy nie przedstawiało większej trudności, niż dla nas spacer do Łazienek. Wzięła więc udział we wrześniu w kongresie naukowej organizacji, a w listopadzie zjechała na kongres gospodarczego wykształcenia.

Nie ulega wątpliwości, że Ameryka, pod względem organizacji domu i nauki gospodarstwa—wyprzedziła znacznie inne części świata.

Amerykanka stawia budowniczym i fabrykantom zupełnie jasne i konkretne zadania do rozwiązania: oblicza ona ściśle ilość kroków, niepotrzebnie przepreptanych przy źle urządzonej kuchni i niewłaściwie rozmieszczonych meblach, chce mieć sprzęty zawodowe: kuchnię, umywalnię, stół do przypraw — umieszczone w dobrym świetle i tak, żeby mogła przy nich pracować siedząc, a nie stojąc, jak to się wszędzie praktykuje.

Nie chce szorować zakopconych rondli i zmywać niesłychanych ilości nakryć, ale żąda naczyń, łatwych do oczyszczenia przy pomocy lekkiej szczotki, obsychających na suszarce, bez użycia wiecznie mokrych ścierek.

Zmuszona do obywatnia się bez służącej, dostępnej tylko dla wyjątkowo dobrze uposażonych nowobogackich—uważa jednak, że na to, by jej życie intelektualne i artystyczne nie cierpiało, musi je urządzić tak, by liczba godzin, użytych na utrzymanie domu, nie przewyższała liczby godzin biurowej pracy; dlatego rezygnuje z pokoi reprezentacyjnych, natomiast żąda pełnego komfortu w niewielkich, jasnych, wesołych, ustawnych pokojach, gdzie zamiast szaf, są ściennie plakardy, gdzie niema tysiącznych łapikurzy, których nikt nigdy nie używa; gdzie brudną robotę opalania mieszkania spełnia centralne ogrzewanie nietylko domu, ale całego miasta; gdzie każdy kącik jest odpowiednio oświetlony, elektryczny odkurzacz pozwala oczyścić każdy sprzęt bez poruszenia go z miejsca, a łazienka zaopatrzona jest zawsze w gorącą wodę, dzięki czemu sprzątnięcie kuchni staje się prawie zabawką.

Praktyczna amerykanka wprowadza naukowe badanie pracy domowej zupełnie temi samemi metodami, jakie są stosowane do badania pracy robotnika fabrycznego; nie odrzuca jednak wszystkiego, co nagromadziły wieki, ale analizuje urządzenia i czynności, aby sobie zdać sprawę z tego, co należy zatrzymać, co udoskonalić, a co odrzucić; a gdy poznamy rozkosze jej współczesnego bungalow, wtedy tembardziej zaczyna nas razić ubogie bogactwo—bo przeważnie tak mało wartościowe pod względem piękna artystycznego—naszych salonów, i szablonowa bezkomfortowość naszych sypialni, jadalni i kuchen. Ale rozumiemy też dobrze, że jeżeli mamy się doczekać reformy naszych mieszkań, to musimy przedewszystkiem dążyć do uświadomienia kobiet w tym kierunku, do nauczania ich, jak mogą wykorzystać te reformy dla wygody rodziny i usprawnienia swej roboty.

Do przemówienia p. Frederick, która, jak przystało na przezorną reformatorkę, wystąpiła w białej koronkowej sukni, mającej być symbolicznym wyrazem zmiany pojęć o istocie, sprzątajacej pokoje i szorujące garnki—dodała swoje uwagi p. Bernège, redaktorka znanego i u nas pisma „Mon chez moi”, która poza bardzo natrętną autoreklamą, powiedziała jednak sporo uwag praktycznych i nowych na temat walki gospodyni z drożyzną.

Walkę tę prowadzi się trzema drogami: — przez ograniczenie spożycia, zmniejszenie marnotrawstwa, umiejętność zakupu; z tego wynika ostateczna teza: kupować tylko to, co niezbędne, — zużytkować do szczerbień to, co nabyte.—Kupować tylko to, co niezbędne!—Wspaniałe założenie! ale gdzie jest ta miara, którąbyśmy mogli granicę tej niezbędności zmierzyć? Czy można, np., położyć ją przed tym szalonym tłumem, który przed świętami Bożego Narodzenia znosi i zwozi do domów tyle drobiazgów, dziś pozornie niezbędnych, a za parę dni zgola bezwartościowych?!

Ja sędzę, że takie frazesy, choć bardzo efektowne, zawsze pozostaną frazesami; natomiast, uświadomiona i wykształcona gospodyni może sobie czasem pozwolić i na rozkosz nabycia czegoś, niekoniecznie potrzebnego, ale wtedy tylko, gdy jej na to pozwoli budżet. I dlatego, choć gotowa jestem pokłonić się bardzo nisko przed tą katonką, która nigdy nie kupiła nic zbytecznego, ale myślę, że w życiu praktycznem łatwiej będzie, a może bardziej „po ludzku” wprowadzić, jako kryterjum naszych zakupów, budżet, niż formułkę paradoksalną.

Natomiast uważam, że inne zdanie p. Bernège zasługuje na to, by mogło trafić do jaknajliczniejszych słuchaczy: to konieczność produkcyjnego wysiłku. W tem leży sedno całej sprawy, i w tym zakresie prowadzone naukowe badania mogą zmniejszyć pracę gospodyni dwu—trzy—nawet kilkakrotnie, jak o tem przekonywują wykresy, dotyczące np. mycia okien, czyszczenia podłóg, ślania łóżek, słowem—wszystkich nieuniknionych czynności gospodarczych.

Analiza ruchów, potrzebnych do wykonania danej czynności gospodarczej, wybranie tych, które przy najmniejszym wysiłku mięśni, w najkrótszym czasie dadzą pożądany wynik pracy—oto zadania współczesnych instytutów naukowego badania pracy, a także seminarjów i wyższych szkół gospodarstwa.

Zawsze istniały [zręczne i nieudolne wykonawczy] wszelkich robót w gospodarstwie; zawsze mieliśmy w swem otoczeniu „żywe garnkotłuki”, i „powolne niedołęgi”, i „złote ręce”, którym wszystko szło, jak z płatka; ale na czem polegała różnica między temi trzema krańcowemi typami, jakie metody nauczania pozwolą na wyrównanie różnic, wytworzonych przez matkę- naturę—to dopiero w czasach nowych i najnowszych zaczęto badać, znajdując na tem polu cały ogrom nowej i jakże pożytecznej nauki!

Pomiędzy wykonaniem, a warsztatem pracy, istnieje najściślejszy związek, stąd też dopełnieniem kongresu była wystawa, która rozrosła się do takich rozmiarów, że właściwie pochłonięła nieomal że cały kongres. Poszczególne państwa, bardzo zresztą nierównomiernie, przygotowały się do niej w najrozmaitszy sposób.

Ilościowo górowały, oczywiście, Włochy, zapełniając i przepelniając każdy zakątek górnej części gmachu niesłychaną ilością przedmiotów, chaotycznie zebranych, często nic wspólnego z nauką i organizacją gospodarstwa nie mających. Obok koronek i haftów—kury i lęgniaki; obok artystycznych miedzi kutych—ohydne jarmarczne szkła i porcelany; przepiękne kosze z Sardynji—i stosy śmieci bez celu i pożytku, które jednak ludzie kupują. Pozatem—paciorki, wyrabiane przez inwalidów, kamee i różne drobiazgi, które trzeba sprzedać! Gdy dodam do tego kontrast pięknej, prastarej kuchni ludowej, kryjącej ognisko pod majestatyczną kapą, sąsiadującej z najbanalniejszym, najbardziej „niewygodnym” i „niepotrzebnym” salonem, jaki sobie wyobrazić można—to stanie się jasnem, że we Włoszech zdobycze cywilizacji wprowadziły stanowczy rozbrat z antycznym pięknem, nie dając wzamian ani komfortu, ani higieny.

Szukajmy kontrastu! — Otóż jest i właśnie taki, jakiego potrzeba. Pierwsze sale parterowe zajęła Szwecja, dając obraz przedziwnie jasny, dokładny, skończony i zamknięty w sobie—wnętrz dla rozmaitych środowisk rodzinnych tego kraju, w którym klimat i natura zdają się usposabiać człowieka szczególnie silnie do stworzenia sobie zacisznego, pełnego światła i ciepła, gniazda.

(d. c. n.)

M. Karczewska.

SPROSTOWANIE:

W Nr. 4 „Bluszczu”, w artykule „Przegląd Karnawałowy” był mylnie podany adres magazynu „Ludwika” Nowy-Świat 81, powinno być Nowy-Świat 41

PODZIAŁ WIEPRZA

Duże wieprze, tuczone na słoninę, dzieli się w sposób bardziej skomplikowany. Przedewszystkiem, oprócz głowy, odkrawa się jeszcze na dwadzieścia centymetrów gruby płat szyi, czyli oszyjek; potem wybiera łatwo dający się oddzielić kawał przerastającego mięsa z karku, z którego się robi szynki w pęcherzu, czyli tak zwane balerony. Po wyjęciu wewnętrznego sadła, oddziela się płaty mięsa między tem sadłem, a żeberkami, poczem żeberka nadrabuje ostrożnie, aby nie uszkodzić połci słoniny, i odcina te żeberka od tych połci. Solone, lub na świeżo użyte, takie żeberka, na Kresach Wschodnich schabkami zwane, są jedną z najsmakowitszych części wieprzowiny. Wraz z żebrami wybiera się i kość grzbietową, oddzielając od niej znajdujące się pod krótkimi żebrami, dolne, małe połówiczki, które wraz z wszelkimi obrzynkami od szynek idą na kiełbasy. Rękami, prawie bez użycia noża, zdejmuję się ze słoniny obie duże połówce. Odcina tylne szynki i przednie łopatki.

O ile wieprz jest bardzo tłusty i chcemy mieć więcej słoniny, łopatki się wycina bez wierzchniej słoniny, pozostawiając ją przy połciach. Takie łopatki soli się i wędzi krócej od szynek, noszą one na Kresach nazwę kumpi i są dobre do jedzenia na surowo, gdyż prędko i mocno się przewędzają. Lub też z takich łopatek wyjmuje się kości środkowe, związa je mocno, wkłada do pęcherza i wędzi, jako balerony. Na ławie pozostaje czysta słonina, którą się kraje na połcie, przyczem najlepsze i najgrubsze są z karku i grzbietu. Nie będę dzisiaj już mówiła o soleniu, marynowaniu i wędzeniu mięsa wieprzowego, pozostawiając to na raz inny. Powiem tylko, co należy zrobić z kiszki (jelitami), żeby je oczyścić. Otóż przedewszystkiem żołądek wieprza oczyszcza się i płócze, skrobie mocno, lecz nie przecina, gdyż ma służyć do gotowania salcesonu, zwanego na Kresach żyłcem, głowizną, albo kindziukiem. Kiszki grube oczyszcza się zapomocą kilkakrotnego płókania wewnątrz i zewnątrz. Nie należy przecinać ślepej kiszki, która służy tak samo, jak żołądek, do wyrobu salcesonu. Kiszki grube, proste, należy jeszcze lekko oskrobać i wyszlamować, wywracając je stroną wewnętrzną na zewnątrz; kiszki kręte oczyszczają się dostatecznie przez samo płókanie. Najwięcej roboty jest około cienkich kiszek.

Należy przedewszystkiem obrać je starannie z wszelkiego tłuszczu i szmalcu, a bywa tego tłuszczu w sztukach karmionych bardzo dużo. Tłuszcz ten, znacznie gorszy od sadła w dużych płatach, po należytem wymoczeniu w wodzie, kraje się jaknajdrobniej i wytapia na szmalec. Kiszki kraje się na parometrowe kawałki, usuwa z nich zawartość, myje i płócze w kilku wodach, przewraca na drugą stronę

i skrobie tępemi nożami, usuwając z nich szlam i tłuszcz niejadalny, tak długo, aż pozostaną zupełnie czyste i przezroczyste. Moczy się je jeszcze do bę w zimnej wodzie, poczem, o ile nie mają być zaraz użyte, soli się je w jakim naczyniu, lub też wydmuchuje, wiązuje końce i suszy w ciepłym miejscu nad blachą, lub u pułapu w kuchni. Tak wysuszone, mogą trwać miesiące całe. Przed użyciem rozmacza się je w zimnej wodzie, a będą jak dopiero co z wieprza wyjęte.

Pęcherz wieprza, po wypłókanu i wymoczeniu wydyma się starannie przez włożone w otwór piórko, wiązuje i suszy. Służy on do zlewania i przechowywania szmalcu, wytopionego z kiszkowego sadła, lub też do hermetycznego zawiązywania słoików z marynatami.

Grube kiszki proste służą do wyrobu połówic i salami; grube, kręte—do wszelkiego rodzaju kaszanek, kiszek pasztetowych itp.; nakoniec cienkie, których jest najwięcej—do kiełbas surowych i wędzonych. Kiszeczki z małych sztuk można użyć do wyrobu serdelków. Parówki się robi w kiszeczkach baranich. Szynki i łopatki soli się i saletruje, dopóki są gorące jeszcze. Słoninę też dobrze jest solić zaraz po rozebraniu wieprza.

Połówce i balerony moczy się przez 24 godziny w świeżej krwi wieprzowej, aby miały ładny, wiśniowy kolor.

Wszystkie inne części wieprza: wnętrzności, głowizna itp. mogą przed użyciem dzień lub dwa pozostać w zimnej spiżarni. Wątrobę się używa na kiszki pasztetowe, krew—na kaszanki i kiszki z maki.

Kiedyś wrócę jeszcze do dokładnego opisu użytkowania każdej części wieprza.

Pani Elżbieta.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU”

INFORMACJE TELEFONICZNE

DO G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

O OCCIE DOMOWYM SŁÓW PARE

Wiadomą jest rzeczą, że oszczędność — to jedna z największych ekonomicznych mądrości społeczeństw i jednostek; całkiem, bowiem, nieoczekiwanie zyskuje się plusy w budżecie i ma się miłe poczucie pożytecznego wyzyskania rzeczy, które poszłyby na zmarnowanie. Gospodarstwo domowe—to małe społeczeństwo: ma swój budżet, niedobory, może być zręcznie, lub nieudolnie prowadzone, kwitnie, wegetuje, lub też upada.

W gospodarstwie, prowadzonym umiejętną ręką, nie powinno się nic zmarnować, każdy produkt powinien być zużytkowany do ostatnich granic, bo wtedy dopiero mamy poczucie rozumnego spożytkowania surowców.

Jednym z najpospolitszych objawów nieumiejętnego gospodarowania jest stałe wyrzucanie na śmiecie obierzyn od jabłek, które, jako codzienny owoc, w dużych ilościach przechodzą przez nasz dom.

Z obierek tych, jakoteż tak zwanych „ogryzków“, po odrzuceniu nasion i, oczywiście, przepłókanii, otrzymujemy świetny, zdrowy, o winnym smaku, ocet domowy. Ocet ten, którego fabrykacja oparta jest, jak i fabrykacja wina, na fermentacji, otrzymujemy w następujący, prosty sposób:

Oplókanie obierzyny zalewamy zimną, nieprzetworzoną wodą i stawiamy w miejscu dość ciepłym. Naczynie może być kamienne, lub szklane, najlepiej kilko-litrowe. Sypimy łyżeczkę cukru, lub miodu, celem uzyskania szybszej fermentacji. Naczynie nakrywamy muslinem, co udostępnia dojście powietrza, niezbędnego w tym wypadku, a chroni od pyłu i kurzu.

Gdy na powierzchni zacznie się ukazywać pleśń (jedna porcja obierek nie powinna pozostawać w garnku dłużej nad 5—6 dni), wyjmujemy wszystkie łupiny i zastępujemy je nową porcją; po oznaczonym czasie powtarzamy to samo; można także dorzucać co dnia obierek. Po miesiącu takiego zamieniania obierek już sfermentowanych na nowe, otrzymujemy mocny, smaczny, zdrowy ocet, który może być spożywany nawet przez chorych, jest bowiem zupełnie nieszkodliwy dla zdrowia. Siła octu tego zależy w zupełności od nas, im dłużej, bowiem, zmieniamy łupinki, tem wyższą moc uzyskujemy.

Na wsiach, po dworach sprawa jest ułatwiona z powodu wielkich ilości owocu, tam też ocet wyrabia się na większą skalę; w miastach, przy stosunkowo mniejszych ilościach owocu, małe ilości wystarczą na użytek małego gospodarstwa. Do fermentującej cieczy możemy dorzucać odpadki gruszek, rodzynek i każdy owoc suszony, prócz pomarańczy, jako mającej zbyt odrębny smak. Jesienią, gdy owoców jest dużo, zużytkować można śliwki; przeważać muszą jednak

zawsze jabłka, nadające przetworowi szlachetny, wonny smak.

Gdy znajdziemy, że ocet jest dość mocny, przeceźdymy go, zlawszy uprzednio w nowe naczynie, poczekamy, aż się ustoi, i ostrożnie zlejemy, by nie zamieszać sformowanego na dnie osadu. Ocet taki, przy odrobinie dobrych chęci, zrobić może każda gospodyni z pogardzanych łupinek, które się codziennie wyrzuca na śmietnik.

Gospośia.



GOŁĄBKİ Z MIĘSEM

Wziąć dużą, lecz nieciśłą, głowę kapusty białej lub włoskiej. Oddzielić ostrożnie od głąbia listek za listkiem, żeby listków nie porwać. Sparzyć je wrzątkiem, aby zmiękły i dały się łatwo związać. Pół kilo mięsa wołowego z łojem usiekać, lub przepuścić przez maszynkę. Zamiast mięsa wołowego, można użyć baraniny, lub wieprzowiny przerastalej. Cwierć kilo cebuli, drobno pokrajanej, przesmażyć z masłem lub szmalcem; filiżankę ryżu ugotować na sypko, — zmieszać razem mięso, ryż i cebulę, posolić do smaku, popieprzyć. Nadziawać liście, wykrawając grube nasady i związając zgrabnie w ruloniki, związać sznurkami, aby się nie rozpadły. W drugim, płaskim rondlu zrumienić sporą łyżkę masła lub szmalcu, ułożyć na to gołąbki, zrumienić ze wszystkich stron, podlać rosołem lub wodą, przykryć pokrywą i dusić około godziny na zakrytej blasze, aby się nie przypaliły. Na wydaniu włożyć parę łyżek konserwy pomidorowej, tyleż śmietany i poddusić jeszcze. Wyjąć gołąbki na półmisek, odjąć nitki. Sos tymczasem zaprawić łyżką maki, rozprowadzić rosołem lub wodą do należytej gęstości, przetrzeć przez sito i gorącym zalać gołąbki.

GOŁĄBKİ POSTNE

Kapustę podzielić na liście i przygotować, jak na gołąbki mięsne. Na farsz można wziąć pół kilo jakiegokolwiek ryby bez ości, np. sandacza, szczupaka, dorsza i t. p.; bardzo smaczne są też gołąbki z wędzoną rybą: bierze się na nie wędzonego dorsza, piklinga, flondry, zawsze w ilości mniej więcej około pół kilo. Rybę świeżą lub wędzoną sieka się drobno, lub przepuszcza przez maszynkę, miesza ze smażoną cebulą i ryżem, jak powiedziano przy gołąbkach mięsnych. W braku ryby, można ją zastąpić sześcioma jajami, ugotowanymi na twardo i posiekanymi, dodając w takim razie garstkę koperku do ryżu, którego należy wziąć nieco więcej. Można też zamiast ryby i jaj użyć pięć deka grzybków suszonych, ugotowanych i usiekanych. Smak z grzybów należy użyć

w połowie do gotowania ryżu, a w połowie do podlewania gołąbków. Postne gołąbki rumieni się na maśle i podlewa smakiem rybnym, grzybowym lub jarzynowym.

ŚLEDZIE ŚWIEŻE, MARYNOWANE

Duże śledzie świeże są to właściwie piklingi nie wędzone. Nie wszyscy je chętnie jedzą, mimo to, że są wyborne w smaku, dla rzekomego zapachu morskiczyny. Przy marynowaniu zapach ten zupełnie ginie. Dwa kilo śledzi oczyścić, jak zwykle, posolić lekko wewnątrz i zewnątrz, potrzymać tak godzinę. Utarzać w mące i usmażyć na szmalcu lub fryturze, gdyż na maśle łatwo się przypalają. Tymczasem ćwierć kilo cebuli pokrajać w paski i nawpół ugotować w szklance wody, dolać szklankę mocnego, winnego octu, kilka ziarn pieprzu i ziela, ugotować razem. Dodać parę łyżek dobrej konserwy pomidorowej, dwie łyżki oliwy i tłuszcz z patelni, na której się smażyły śledzie. Ryby ułożyć na głębokiej salaterce i jeszcze letnie zalać ostudzoną marynatą. Po dwóch dniach dopiero używać.

ŁATWE CIASTO PIECZONE W „PRODIGE’U”

Rozczynić ciasto z filiżanki letniego mleka, dwóch filiżanek mąki i dwóch deka drożdży, osolić odrobinę; po godzinie, gdy ruszy, dodać żółtko, utarte do białości z pół filiżanką cukru, łyżkę masła surowego, tyle mąki, aby razem było jej pół kilo, wyrabiać, aż od rąk odstanie. Wlać trzy krople olejku migdałowego lub cytrynowego, wsypać garść koryntek lub sułtanek, tyleż skórki pomarańczowej, smażonej w cukrze. Formę wysmarować masłem, wysypać bułeczką, przełożyć do niej ciasto, które powinno być zupełnie wolne, postawić w cieple, aby dobrze podeszło. Gdy ciasto dorośnie do dziurek w formie, postawić narazie na wolny ogień, pozostawiając w formie małe otworki, aby się dół dobrze zrumienił; po 25 minutach otworki zwiększyć, aby się ciasto zrumieniło po wierzchu; po czterdziestu minutach najwyżej (czasem prędzej) powinno być gotowe. Tymczasem zagotować szklankę wody z niepełną szklanką cukru, wcisnąć w to sok z pół cytryny, dolać kieliszek abrikotiny (likier) i łyżeczkę esencji ponczowej. Płyn ten ostudzić. Natychmiast po wyjęciu ciasta z formy, gorące jeszcze, polewać łyżką tym syropem, aż się cały użyje i ciasto doskonale nasiąknie. Można krajać natychmiast i podać z konfiturami do obiadu, lub też, gdy zupełnie wystygnie, używać do kawy lub herbaty.

Pani Elżbieta.

LABORATORJUM HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisu Dr. J. Świtalskiej

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotoki Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziomkowe i lilowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udelikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

DOBRE RADY

Można użytkować zniszczone obuwie, wycinając dobre kawałki skóry dla podzelowania niemi podeszew—zwłaszcza dla dzieci. Będą o wiele lżejsze i elastyczniejsze od surowej skóry i lepiej ochronią nogę od przemoczenia. Jeżeli bucik pęknie i potrzebuje cerowania—zamiast zwykle uwierającej łąty, wyciąć z cienkiej skórki kawałek większy, niż uszkodzone miejsce, przylepić klejem kauczukowym, dobrze wygładzić, naciągnąć skórę, wysuszyć powoli, a będzie można nosić bardzo długo i łątki zupełnie znac nie będzie. Miękkie kawałki skóry ze zniszczonego obuwia użyć można na futeraliki do rączek od żelaza do prasowania.

* * *

Na wiosenne roztopy przyda się paniom wiadomość, jak zabezpieczyć skórzane obuwie od przemoczenia. Otóż trzeba wziąć litr nafty, rozpuścić w nim 50 gr. parafiny, namoczyć w tym płynie skórę i podeszwy obuwia, wysuszyć i wywietrzyć zdala od pieca na powietrzu. Tak uodpornione na wilgoć obuwia nie czysci się pomadką, ale wyciera i glansuje miękką barchanową ściereczką. Zamiast 50 gr. bierze się 30 gr. parafiny na litr nafty dla zrobienia płaszcza gabardinowego nieprzemakalnym. Jest to sposób, zatwierdzony przez Akademię Nauk w Paryżu, a podany przez ziomka naszego dr. Niewęglowskiego; daje podobno znakomite rezultaty.

KORESPONDENCJE

Pani D. — Łódź „Prawda”. Główni pajaców dostanie Sz. Pani w Magazynie francuskim (Warszawa, ul. Traugutta Nr. 2), albo u M-me Henriette (Mazowiecka 6).

Pani K. L. — Lwów. Wzorów narazie nie potrzebujemy, mając stałe współpracowniczki. Cena zależy od wielkości i wartości wzoru.

Pani H. G. — Kielce. Niech Sz. Pani zwróci się do firmy „Estefilm” (Marszałkowska 112) — albo do Tow. „Film” (Marszałkowska 139). Można też spróbować złożyć ofertę w kinie „Colosseum” — firma „Jarfilm” (Nowy Świat 19), lub „Muzafilm” (Widok 23).

Jednej z wielu. Cieszy mnie bardzo, że moje przepisy gotowania kasz pozbażyły Panią kłopotów z ich przyczyny. Żądane przepisy postaramy się wkrótce umieścić. Robota kwiatów sztucznych z materiałów i bibulek ukaże się wkrótce w osobnym wydawnictwie; — tymczasem polecamy dwa zeszyty „Modnych Robót kobiecych”. „Kwiaty fantazyjne w stroju i dekoracji mieszkań” (w 2 cz.). Po otrzymaniu dwóch złotych znaczkami pocztowymi, za każdy zeszyt zosobna (można kupić każdą część oddzielnie), wyślemy natychmiast.

Pani J. St. — Gdeszyn. Miło mi było usłużyć Sz. Pani małym dowodem uprzejmości. Cieszę się, że kolory włóczek i kwiaty, z nich zrobione, podobały się Sz. Pani.

Pani M. St. — Tłoki. Nie wiem, z jakiej dziedziny życzy sobie Sz. Pani mieć książki; poproszę o bliższe wskazówki.

Pani Z. M. — Rembertów. Bezwzględnie lepiej jest uszyć koszulki w domu — ze starego płótna są najmilsze; kaftaniczki trykotowe można kupić w którym ze sklepów trykotarskich; poduszki i powłóczki — obstałować w firmie Lissner i Holner (Wspólna 47).

Dla abonentki „Bluszczu”. O ile chodzi Sz. Pani o kursy sanitarne, to polecić mogę kursy Czerwonego Krzyża, gdzie prawdopodobnie są kursy cztero i ośmiomiesięczne (Mazowiecka 9), albo dwuletnią szkołą pielęgniarzek (Smolna 6). Pozatem bywają

perjodyczne wykłady dwu i kilkotygodniowe w Państwowej Szkole Higieny (Mokotów, Chocimska 24).

Pani I. W. — Białystok. Dodatków powieściowych osobno nie posiadamy, drukujemy ich bowiem tyle tylko, wiele numerów pisma. Możemy służyć Sz. Pani kompletnymi egzemplarzami „Bluszczu” z r. 27, które narazie posiadamy jeszcze.

Q wzory mebli niech Sz. Pani zwróci się listownie do Muzeum Przemysłowego w Krakowie (ul. Smoleńska Nr. 9) — gdzie się może jeszcze u nich jaki zeszyt wyczerpanego zresztą wydawnictwa.

Pani J. W. — Sosnowiec. Farb niewypierających się do stanie Sz. Pani u prof. Buszka „Tow. popierania przemysłu ludowego” (Tamka 1), albo w firmie Julian Buraf (Nowy Świat 47).

Pani M. K. Ptaszkowa. Firanki z Nr. 4 „Bluszczu” zrobić można na szarem płótnie haftem kolorowym — ozdobnymi ściegami, których opis znajduje Sz. Pani w wydawnictwie „Haft kolorowy” — (do nabycia w naszej Redakcji). Po otrzymaniu 1 zł. 80 gr. znaczkami pocztowymi — wysłamy.

Firanki haftem Richelieu, z mereżkami, wymagają tła delikatniejszego: — batystu, etaminy i t. p. Mereżki bynajmniej nie ściągną materiału i dają się łatwo prasować. Haft Richelieu wykonać trzeba bawełną D.M.C., tak zwanym atłaskiem; haft kolorowy — bawełną Mouliné, również firmy D.M.C.; bawełna ta nie wypiera się i nie pełźnie — jest zawsze efektowna, szczególnie, jeżeli użyjemy całej nitki.

Zainteresowanej. W najbliższych tygodniach umieścimy w „Bluszczu” artykuł o modzie greckiej i strojach grecko-rzymskich z ilustracjami. O ile sprawa jest pilna, dopomoże w tem Sz. Pani dobry podręcznik historyczny, chociażby Korzona, lub jakieś specjalne dzieło francuskie, czy niemieckie, które powinna posiadać każda lepsza biblioteka.

Pani J. K. — Krotoszyn. Jeżeli pod nazwą higienistki rozumie Sz. Pani pielęgniarkę, to najlepsze są kursy Czerwonego

Krzyża, gdzie prowadzone są czteromiesięczne, ośmiomiesięczne i dwuletnie, bardzo wyczerpujące kursy. Bliższych informacji udzieli Sz. Pani Szkoła pielęgniarek (Smolna 6) w Warszawie, przy Czerwonym Krzyżu. Zajęcie pielęgniarek jest doskonale wynagradzane — zwłaszcza tych, które ukończyły dwuletnie kursy i wyspecjalizowały się w jakimś kierunku.

PORADNIA DLA SAMOUKÓW P. M. S.

Działy Ogólny i Nauczycielski — Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 7 m. 4.

Poradnia Macierzy udziela bezinteresownie, drogą korespondencyjną, porad i wskazówek, informuje w sprawie egzaminów, wymagań, kwalifikacji, kursów; wypożycza programy, poleca profesorów korespondentów i t. p. Na odpowiedź z Poradni należy załączyć kopertę z dokładnie wypisanym adresem i naklejonym znaczkiem pocztowym.

BIBLIOTEKA NAUCZYCIELSKA POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

Biblioteka nauczycielska kompletuje książki według programów Wyższego Kursu Nauczycielskiego, oraz kursów wakacyjnych dla czynnych niewykwalifikowanych nauczycieli szkół powszechnych. Podręczniki wypożycza na dłuższy okres czasu na przystępnych warunkach. Zgłoszenia osobiste i listowne prosimy kierować pod adresem Macierzy — Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 7 m. 4.

„100 POTRAW Z JAJ”

PRZEPISY POTRAW Z JAJ, TAK BARDZO CENNE DLA GOSPODYŃ W OKRESIE POSTU

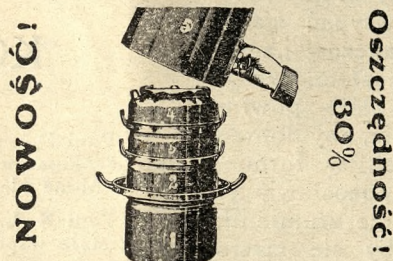
CENA 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w z n a c z k a c h pocztowych.

— Za zaliczeniem nie wysyłamy. —

Ważne dla oszczędnych gospodyń i sublokatorów



Aparat do gotowania „VICI”

jest najlepszym i najekonomicznym przyrządem, gdyż na jednym płomieniu gazowym lub Primusie umożliwia od razu ugotowanie obiadu z 4-ch dań.

„AUER” T. A. Marszałkowska 137.

„HODOWLA I TUCZENIE DROBIU”

PRAKTYCZNE RADY RACJONALNEGO PROWADZENIA DOCHODOWEGO GOSPODARSTWA DROBIEGO.

CENA 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w z n a c z k a c h pocztowych.

— Za zaliczeniem nie wysyłamy. —

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.